

PISMO DLA RODZIN.

№ 3. Warszawa, dnia 9 (21) Stycznia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W arszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

DROBNOSTKI.

Pomiędzy myślą a czynem leży przestrzeń tak ogromna, że nie każdy z ludzi ma odwagę ją przebyć. Któż nie miał dobrej myśli — co mówię, całej kopalni pięknych marzeń, ślicznych projektów, najśliczniejszych zasad do wprowadzenia w życie? Dość jest wymówić: „*gdyby to!*"—a całe roje pięknych pomysłów wysnują się z tego słóweczka: wnet wyrasta gmach wspaniały, sięgający czołem w obłoki, taki uroczy że tylko westchnąć za nim gdy znika pod wpływem innego znów słówka „*cóż? kiedy*...

Rozmowa z przyjacielem, książka poważna, czasem nic nie znaczący wypadek, rozbudzają mój umysł, ukołysany życiem z dnia na dzień, i oto wstępuje we mnie myśl stosunkowo wielka, jakieś przypuśmy przedsięwzięcie szlachetne—i widzę że od pięknego celu ktory mi się ukazał, oddziela mię tylko... przepaść. Ale tak silnie zachwycony jestem nowym widokiem, że mię ta refleksyja nie zraża.—Przepaść —to ją przeskoczę; krew silniej krąży w żyłach, rozjaśniło mi się przed oczami—rozpędzam się —i staję u brzegu. Niepodobieństwo! ani myśleć; cofam się więc ze spuszczoną głową i powtarzam znany frazes: Czemuż to życie nie jest poematem!"

Oj, że nie jest ono poematem, to nie jest. Życie nasze składa się z obszernego systematu nawyknień; nasz charakter kształcony na zewnętrznych warunkach, ze swojej znów strony wlewa się niejako w ich formę i w codziennem życiu uwydatnia się pod postacią często powtarzanych drobnych czynów, które wypływając już jakby z mechanizmu, tracą cechę dobrowolnego czynu, formują obyczaj. Obyczaj nas trzyma na uwięzi i na każdy ruch nowy, kładzie ciężkie *veto*.

Życie śmiertelnika nie może być nieustannem pasmem rezultatów świadomego siebie rozumu i uczucia, a każdy krok jakby jazdą na dzielnym wierzchowcu, potrzebującym ciągłego wytężenia ramion i oczu; na codzienny gospodarski użytek potrzebny jest silny mierzynek, niepotykający się, znający na pamięć wszystkie nasze drogi i ścieżki, mający przytem dobrego stępa, bez pomocy cugli i ostróg.

Przeciwko temu nikt nic nie powie; ale też i na to zgodzi się każdy, że mało znajdzie się ludzi posługujących się czemś więcej jeszcze nad obyczaj, i choćby tylko w ważnych chwilach życia używających siły tej rozumnej, wolnej woli, o posiadaniu której każdy z nas dysputować potrafi.

Gdybyśmy się chcieli sumiennie zastanawiać nad naszemi czynami, przekonalibyśmy się że dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto, postępki nasze były następstwem prostego zbiegu okoliczności, że nasze świadome *ja* tyle w nich było czynne, ile jest czynny liść niesiony wiatrem.

Przypuśćmy—ożeniłem się. Na pozór ten fakt mego życia zdaje się być spełnionym z dobrowolnego wyboru, ze współdziałem świadomej woli; tymczasem jestem w błędzie tak sądząc.

Byłem na wieczorze—tam poznałem pannę X. której ślicznie było w różowej sukience, której gors był nader powabny, a ramiona nad wyraz pulchne i delikatne. W dalszym ciągu wieczoru byłem w wybornym humorze, na który złożyło się wesołe towarzystwo, muzyka, kuchnia i piwnica gospodarza; wszystko po trochu. Traf mieć chciał że mię posadzono do wieczerzy obok p. X. Zawiązała się między nami wesoła rozmowa. p. X. znajdowała mię nader dowcipnym, bo się wciąż śmiała pokazując perłowe ząbki, a to jej tak było do twarzy, żem ją uznał za bardzo miłą osobę; tańczyłem z nią potem ciągle. Sąsiad mój, poczciwy szlagon, schwyciwszy mię w kącie salonu za obie klapy od fraka, uczynił spostrzeżenie że mam dobry gust i pierwszy obudził we mnie myśl żenienia się z p. X. dodawszy zaraz że ma posażek niezły i opinią niczego. Jakoś złożyło się, żem zawarł bliższą znajomość z papą panienki; wciągnięto mię do jego domu, zacząłem *bywać*, familija uderzyła brawo, ot, i za czwartą coś bytnością oświadczyłem się... Przyjęto mię, potem ślub—i jestem mężem panny X. No i patrzcież państwo! mnie się zdawało że postępuję zupełnie własnowolnie — tymczasem w tem wszystkiem nie było nawet tego co się podług przeklętego Darwina, wyborem naturalnym nazywa, bo przecie znam panny lepsze, rozumniejsze, daleko hojniej wyposażone tak od natury jak i od rodziców, choć była nawet pewna osoba, dla której... Ale co tam już o tem wspominać... poszedłem przed ołtarz z jakiemś osłupieniem—jakby mię co ciągnęło, w pożyciu czuję teraz niesmak i żal — ha cóż robić—taka widać była wola Boża, tak mi widać sądzono.

Jeżeli się przyznaję do poddaństwa okolicznościom, nie myślę przeto wyznawać żem słabszy od innych i bardziej niedołężny. Pokażcie mi wielu ludzi co postępują inaczej! Wszyscyśmy prawie do siebie podobni.

Poznawszy gruntowniej czyje usposobienie i nawyknienia, zobowiązuję się przepowiedzieć co zrobi w tej lub innej okoliczności, w jaką

stronę go popchnie ten lub inny przypadek, choć przecie ten człowiek nie odważy się powiedzieć że jest pozbawiony woli niezależnej, i posiada niezaprzeczoną możność, iść prosto ku ideałom. Udeptane ścieżki życia, trzymają go na wieki w błędnem kółku nawyknienia.

Nie potrzebujemy docierać do źródeł siły woli; czy ją kto wyprowadzi z nieba czy z ziemskich pierwiastków złoży—nikt jej nie zaprzeczy, bo ona razem ze świadomością siebie, z wolnością i odpowiedzialnością za czyny, należy donajzacniejszych znamion ludzkiej istoty; ze zniknięciem jej zniknie z nas piętno człowieczeństwa. Ona jedna podnosi człowieka i stwarza świat ludzki, moralny, odrębny od świata materyi. Pochodzenie tej siły mniej mię niepokoi niż myśl, że tak mało kto używać jej potrafi.

Ale otóż znów wpadłem na tor pięknych myśli!

Wydaje mi się jakobym dostawał, skrzydeł u ramion a dusza jakby rosła w nieskończoność. Takie rzeczy myśląc, człowiek czuje się potężnym—ba! wielkim; dopiero gdy go kto z nienacka zapyta:

—„Sprobowałżeś kiedy takie myśli w życie wprowadzić?"—czuje się oblanym zimną wodą, gotów się nawet seryjo rozgniewać na niedyskretnego ciekawca. Nie dość że już odczuwać takie rzeczy!?

Wiele jest złych rzeczy między nami— więcej niż dobrych!— Prawda! — Wielu z tych rzeczy sami jesteśmy winni. — I to prawda!— Możnaby temu i owemu zaradzić: przecież to na nas ciąży obowiązek naprawiać nasze błędy—czy błędy naszych ojców.—No tak, tak to niby!...—Będą trudności — ale cóż bez nich przychodzi.—Racyja!

Dotąd wszyscy się zgadzają. — A więc do dzieła!

Załatać dach przez który woda przecieka—podeprzeć zręby które się walą— poprawić zrujnowane płoty—drogę wyrównać — pozatykać dziury w moście;— a potem całą siłą na niwę. Oto sąsiedzi mają w bród wszystkiego, a u nas bieda, myśmy zaspali a tu robota kipi w koło! Do dzieła!

Dokąd szło o zasadę zgadzali się wszyscy, gdy o czyn idzie zdania zaczynają się dzielić... Ten i ów głową pokiwa nad nieudolnością ludzkiej natury, ten się obejrzy na innych, sądząc się wyjętym z obrębu wzywanych.

— Albom to ja bocian żebym świat czyścił? Nie moja na to siła. Łatwo to gadać... sprobujno czy się potrafisz ruszyć.— Ja tam z góry powiadam że nie potrafię.

Choćbym coś takiego zrobił, na cóż się przyda ziarnko piasku!— A ja wam powiadam moi panowie że głupstwo jest nie ma o czem gadać, przybija głos nujpoważniejszy; mamy dosyć i tak kłopotów, jeszcze tam głowę mrzonkami zawracać! I każdy poszedł położyć się spać spokojnie, przekonany w duchu, że nic go nie obowiązuje do słuchania podobnych natchnień, którym by nie podołał, a najszczerszym podobno był ten co wyznał, że sprawę swojego nosa uważa za najważniejszą ze wszystkich kwestyj żywotnych.—Świetne plany osiadły na piasku, dopiero traf jakiś szczęśliwy popchnie je ku urzeczywistnieniu.

Smutne to—ale nie powinniśmy się dziwić. Nowy żywioł w całej masie wielkiego przedsięwzięcia, nie daje się wtłoczyć między ścisłe warstwy tych wszystkich naleciałości, co stanowią drugą naszę naturę.

Przedsięwzięcie wielkie, choć ma na celu najwyższe jakie dobro, odstrasza nas od siebie ogromem trudności, gdy tymczasem byt obecny choć przykry, choć zagrożony zatrważającemi następstwami— jak szlafrok stary przylega do naszego ciała że rozstać się z nim ciężko.— Wystawiamy sobie że chcąc budować dajmy na to wieżę, trzeba kłaść Pelion na Ossę, zapominamy że ona składać się musi z cegiełek. Nie chcemy wiedzieć że między ideją a jej wcieleniem, leży mnóstwo drobnostek.

Idea przedstawia się nam jak niebotyczna góra do dźwigania. Lecz ta góra składa się z ziemi a w rękawach noszona ziemia, usypuje górę.

Na przeciw nas stoją drobnostki do zwalczenia, a nie ścisła nieugięta skała, naszę wolę krępuje także nic innego jak drobnostki niedozwalające nam przedrzeć się po zagranicę nawyknień. Wszędzie drobnostki przeciw nam do boju.

Mówimy pospolicie że taki to a taki generał z drugim stoczył bitwę, tak samo jak człowiek lubiący uogólniać fakta upatruje w jakimś zda rzeniu starcie się dwu przeciwnych idei; tymczasem rzeczywiście żołnierze tu przekłuwali jeden drugiego za rozkazem wodzów a pod tchnieniem pewnych dążeń, drobnostki tu grupowały się i ścierały z innemi— w faktach.

Drobnostki! Bez nich nic nie istnieje, nie tworzy się, nie ginie; te atomy stojące na granicy między nicością a stworzeniem, warte są większej uwagi!

W charakterze naszym leży dużo fantazyi. Lubujemy się w szerokich pomysłach; uganiając się zaś za niemi grzęźniemy w drobnostkach zaściełających drogę. Spełnić coś od jednego zamachu w chwili entuzyjazmu gotowi zawsze jesteśmy, choćby to nas nie wiem ile kosztowało. Rzucamy się przeciw trudnościom; szczęście gdy pękną od razu. Ale nasz zapał tylko na wybuch wystarcza a gdy ten minie, ogarnia nas zniechęcenie; nie zdolni jesteśmy do odbywania mozolnych pochodów ku swoim celom, gdy pierwszy zapał przestanie grać marsza. Walka drobnostek wyczerpuje nas i zniechęca. Podwójnie więc jesteśmy odciągani od ulepszeń choć ich niezbędność uznajemy: ogólnie ludzką bezwładnością do działania zewnątrz kółka nałogów i narodową chorobą dalekowidztwa (jeśli się tak godzi wyrazić) tem upodobaniem do heroicznych konieczenie kroków, uprzedzeniem że ideały koniecznie szybować muszą wysoko pod niebem.

Rozumnie pojęte dobro prawdziwe, wyrobiona nieco zdolność używania woli i zapał szlachetny mogą nas jeszcze uwolnić z pod przemożnego czaru bezwładności, ale właśnie u wrót do czynu, spotyka nas nowy nieprzyjaciel: nasz własny zapał, co nie wziął w rachubę rzeczywistości, przedstawiającej się pod postacią podcinających skrzydła drobnostek.

Niezaradność bezwładna do czynu potworne czasem przybiera kształty. Znałem pewną jejmość która mię często bawiła opowiadaniem o sumach spadłych na nią za granicą. Ubolewała nad swym losem i skarżyła się na chciwość ludzką co jej wydarła niezaprzeczoną własność.

— Dlaczegóżeś pani nie wystąpiła ze swemi prawami w porę?

— Zeszło panie łeskawy. Najprzód dano mi znać o tej sukcesyi w porę kopania kartofli. Ślicznie kartofle obrodziły się—a tu panie mój, czeladź sami złodzieje. Nie mogłam wyjechać z domu. Potem krawiec nie wiem jak długo trzymał moję salopę com mu dała do pokrycia: pojechałam nareszcie da miasta.—Nie zastałam mego adwokata—komu innemu bałam się zaufać. Poradzono mi pojechać do stolicy; a czy to ja tam znam kogo moi państwo! a co za koszta! Ludzie zaczęli radzić, tumanić—odłożyłam mój wyjazd do wiosny. Przyszły roztopy, drogi się popsuły że aż strach; gryzłam się, martwiłam, po nocach spać nie mogłam, a kiedym się przed żniwami wybrała do Warszawy i kosztów narobiła mnóstwo, pokazało się że już zapóźno, że chciwcy obrzydliwi rozerwali już wszystko. Chyba by proces prowadzić...

— I nie żal pani?

— Ha cóż robić! tak widać chciał Pan Bóg, może te bogactwa nie dla mnie były przeznaczone! bo powiadam panu, aż mię coś odpychało od tej zagranicznej sukcesyi.

Ta poczciwa kobiecina przychodzi mi często na pamięć, a nie jest znów ona tak niedołężną jak nam się zdaje; postąpiła ona tak jak postępuje każdy z nas, nie umiejąc poświęcić drobnostkowych swych nałogów i przywyknień dla najwyższego choćby dobra leżącego opodal—pośród trudności. Porachujmy się tylko dobrze, a znajdziemy w sobie nie raz do wyrzucenia takie safandulstwo.

Pan X. lubi czytywać rzeczy pożyteczne i ciekawe, pokarm duchowy wychwala; czemuż nie kupi żadnej książki, żadnego pisma nie zaprenumeruje? Przecież nie jest ubogim aby nie mógł paru złotych na to poświęcić? Oto nie zdobył się jeszcze na odwagę, aby wejść do księgarni i dobyć sakiewki na rzecz której ani zjeść ani włożyć na siebie nie można. Nie weszło mu to jakoś w zwyczaj.

Pani Y. z różnych źródeł nabrała przekonania, że niedosyć jest przyjąć guwernantkę do dzieci; nie czuje się zupełnie przekonaną o spełnieniu swych obowiązków, choć jej córki doskonale konjugują po francuzku, gładko grają gamy, a młodszym dzieciom niańka—starannie noski obciera. Pani Y. pojmuje że jej dużo umieć potrzeba, dużo czasu i zajęcia poświęcać dla dzieci; przecież jak dawniej dzień jej schodzi na niczem, do żadnej poważniejszej pracy się nie bierze. Dla czego? Niechce jej się zmieniać porządku życia, nie chce się jej przezwyciężyć do jednej godzinki naukowej pracy lub zajęcia się dzieckiem choć wie że ta godzina dziennie więcej byłaby warta od stu innych, poświęcanych na studyjowanie mód, ploteczki i różne fatałaszki.

Jeden z moich znajomych głosuje zawsze za stowarzyszeniami, za organiczną pracą dla wspólnego dobra; a czy dał najmniejszą inicyjatywę w tym kierunku czy bodaj przyłożył rękę do wychwalanych przez siebie instytucyj? Gdzie tam? Do tego musiałby ten lub inny swój zwyczaj naruszyć.

Uwielbiamy rzeczy piękne i wyższe, ale boimy się mieć coś wspólnego z niemi; co nam po tem wszystkiem? Po co nam wyłazić ze ślimaczej skorupy.

Po śniadaniu następuje objad, po objedzie drzemka, po drzemce kolacyja— i spać! Jesteśmy sobie ludzie porządni, umiemy dysputować o polityce, mamy sobie po kilkadziesiąt powiedzeń alias zdań, opięczętowanych stęplem powagi, a częstem powtarzaniem uświęconych; nie dość że na tem!

Jesteśmy ludźmi postępu, raczymy przyznawać: że aczkolwiek te lub inne pojęcia są przesadzone nieco, egzaltowane,— przecież... jest w nich pewien procent słuszności, jest! To lub owo wartoby zaprowadzić, zmienić, popierać, temu lub owemu zapobiedz.

Czegóż wam więcej trzeba niespokojne duchy?! Spełniajcie wasze idee! owszem, niech je spełniają, bardzo się będę cieszył; ale to przecież nie ja! to inni... którzy nie mają nic lepszego do roboty.

Czytelnik przyznaje mi słuszność i z politowaniem myśli o takich nierównościach, nie biorąc tego do siebie broń-Boże; (zapewniam go solennie że tu nie o nim mowa). A jednak zwracam jego uwagę, aby nie lekceważył sobie tak dalece tych ludzi o których wspomniałem. Wszak oni nie tylko w bliźnich i ich stosunkach, ale w sobie nawet uznają błędy, toż oni już uznają jakąś prawdę. To już olbrzymi krok do postępu: nabyli już ideję, od wcielenia jej oddzielają ich... tylko drobnostki!

Największa trudność leży w zeznaniu przed sobą że się nie miało racyi, że prawda nie tą drogą chodzi co my, że nad tem i owem wartoby pomyśleć, a może, może i w życie wprowadzić.

Dopiero ci się krew zaburzy cny czytelniku, gdy trafisz na takiego męża lub niewiastę że nawet odłamek słonecznej prawdy nie zmieści się w ich głowie; w których serce jak z gutaperki nic nie przepuszcza, odbija każde uderzenie bez śladu. To dopiero ludzie skończeni. pełni głębobiego poczucia własnej doskonałości: ci dopiero zmuszą cię do pytania ze smutkiem: co to jest człowiek?

Dla nich dłoń własna tak wielka że zakrywa słońce, a Bóg umyślnie tak wszystko na świecie urządził aby sobie mogli wygodnie popasać jak w dobrej oberży, nim ich do swej chwały i lepszych wygód powała.

O takich ludziach mówić nie warto, tamci za to o których mówiliśmy pierwej, większe prawo mają do naszego uznania; oni nie tyle jeszcze krępowani są obyczajem ile że zbyt idealnie pojmują—dajmy na to społeczne dobro, więc pracę w kierunku ideałów uważają za zbyt wielką—zbyt ciężką na swoje barki, chęci ich są za górne—siły za słabe. Tłomaczą się przed sobą że mogąc zaledwie mały pieniążek wdowi złożyć do wielkiej skarbnicy— wolą nic nie dawać i czekać... czego? Nie wiem. Ludzie sobie lubią wyobrażać, że zbawienie zstąpi kiedyś na ziemię samo — że Chrystus znów przyjdzie cuda robić.

Lepsi z nas zbyt są idealogami, patrzą zbyt wysoko; nie idą za pociągiem swych najświętszych przekonań gdyż im się zdaje, że przejście od ideału do rzeczywistości, jest zbyt przepaściste. Jeżeli np. mają wysokie pojęcie o potrzebie światła dla narodu — w porównaniu z ogromem dobroczynnych skutków, płynących z ogólnej oświaty, zbyt drobną im się wyda rzeczą, nauczyć czytać choćby jednego prostaczka, lub umiejącemu czytać podsunąć książkę pożyteczną. W chwili cichego dumania czują się zdolni do ofiar choćby największych— lecz jakże śmieszną wyda się im rzeczą np. drobną cząsteczkę owoców swej pracy, rzucić w szerokie morze dobra ogólnego. Pojmują jak dalece ich życie powszednie nie podobne do wysokich pojęć ich o życiu — czemuż nie sprobują choć jednę godzinę w dniu swoim przeżyć w zupełnej zgodzie z sumieniem? Ideały ich bujają sobie po szerokiem niebie, a oni sami depczą tymczasem po ziemi błotnistą ścieżkę, nie mogąc się zdobyć na położenie na niej bodaj kilku kamyczków. Nie rozumieją teoryi drobnostek.

Wartoby im powiedzieć bajeczkę o pewnym chłopie, co znalazł raz piękną sprzączkę. Sprzączka doprowadziła go do posiadania lepszego pasa, pas, do lepszej odzieży, odzież do lepszych sprzętów—sprzęty do lepszej chaty i t. d. prostemi następstwami doszedł do zupełnej zmiany trybu życia i dobrobytu.

Tylko przejście od martwoty do czynu jest rzeczą trudną. potem choćby najdrobniejsze ziarnko czynu, rozrasta się w plon coraz obfitszy, byleby posiew ogrzewało słońce zacnej chęci i wytrwałego przedsięwzięcia. Tak w materyjalnym jak moralnym świecie nic nie ginie; przez wieki ciągnie się szereg następstw popchniętych nic nie znaczącą drobnostką. W złotej księdze czynów, zapisuje się i najdrobniejsza dawka. I świat przecie zbudowany z atomów.

Tymczasem w świecie ludzkim, wieże ze słów się budują. Słowa nam zastępują wszystko. I przekonania nasze piękne, i ideały nasze któremi się pysznimy, to tylko tkaniny z błyskotliwych frazesów. Ulepiliśmy je sobie jako bogi jakie z mglistego materyjału; dość dotknąć się ich a znikną bez śladu, nie dając tyle nawet siły ile potrzeba do podniesienia słomki, choć góry obiecywały przenosić. Życie przechodzi jak cień, więdnie jak trawa przy drodze.

A często też dobre uczynki nasze bywają tylko paradą; odziewamy się w nie jak w szatę odświętną, nie z próżności może, ale ot tak— dla fantazyi. Ogarnął nas animusz i spełniliśmy jakiś czyn obywatelski, postawiliśmy niby bramę tryumfalną dla siebie ze świeżych kwiatów zapału, i podobnie jak dziecko co sadzi ułamaną gałązkę w piasek, cieszymy się że mamy drzewko własne... Szlachetny zapał wystarczał ledwie na święto, na długie dnie powszednie znów nic—znów jałowo i pusto. Przyczyna złego tkwi głęboko. Obowiązki społeczne, wspaniałe rozwinięcie miłości bliźniego, niestały się jeszcze rzeczywistem prawem sumienia, powinnością najświętszą, i najwyższem uczuciem. Nie przeniknęły jeszcze i nie prędko przenikną wychowanie i obyczaje. Żywimy wprawdzie przywiązanie do stron rodzinnych, ale uczucia nasze spaczone—i nie zastosowaną do życia mają formę. Tak coś w powietrzu i w sercach naszych się kołacze, ale to nie przeszło jeszcze w silną, rozumnie wyznawaną i pełnioną jako powinność zasadę.

Uczucie to, raczej się wznosi nad poziom rzeczy, do sfery wyjątkowych położeń. Jeszcze nie nadszedł czas gdy obowiązki towarzyskie razem z podstawami moralności, będą szczepione jako religija w serca młodociane i zajmą miejsce wielu bezpłodnych, uschłych ziarn, które tam rzucamy na przepadłe.

Gdy się ściany domu rysują, zapanowują nad nim ruina i zniszczenie, gdy gruz się sypie, nie pomoże pięknie nakreślony plan odbudowania domu, ubolewania nic nie pomogą, ni najpiękniejsze rady, jeśli się nie znajdzie nikt, ktoby wóz zaprzągł, przywiózł wapna i cegły, a przypasawszy fartuch wziął kielnię do ręki. Gdy tyle jest do zrobienia: niedostatki i przeciwności oblegają do koła, gdy w nas samych tyle jest złego, niezasypiajmy w snach o ideałach, nie zasklepiajmy się w ciasnym obrębie znośnego tymczasowego bytu i niezapominajmy że po za granicą egoistycznych widoków leżą potrzeby i cele wielkie, że nam wegetować nie wolno. Kto szczerej pojął przeznaczenie człowieka i stosunek swój względem społeczności, tem samem podłożył już swe barki pod brzemię jej dobra; jeżeli się usuwa, ciężar zwala na innych— zdradza i podpisuje na siebie wyrok potępienia, przed trybunałem własnego sumienia.

„Moje jarzmo jest lekkie" powiedział wielki nauczyciel narodów; poświęceń nikt nie ma prawa nakazywać, ale pełnienie obowiązków jest prawem, jest powinnością — jakże lekką wreszcie! Drobnostek! drobnostek tylko nam potrzeba; Regulujmy tylko nasze dobro z wielkiem wspólnem dobrem, a szlachetniejszych poruszeń ducha używajmy za istotną siłę życia, tworzącą drobne czyny w wielkiej winnicy pańskiej.

T. Z.

FRAGMENT.

Tyle w życiu przeżyłem już złudzeń
Tyle serc już straciłem na zawsze!..
Jednak nie ma cię, chwilo przebudzeń,
Jednak nie ma was losy łaskawsze!

I gdy w duszy uczuję tęsknotę,
Gdy noc jasna osrebrzy niebiosy,
Znowu szukam was marzeń sny złote,
Znowu czekam, jak kwiat czeka rosy.

Świat mi cięży na sercu jak kamień
Cięży życie to puste, jałowe--
I choć widzę śmierć dawnych omamień,
Cóś mi woła: twórz nowe, twórz nowe!

Mamże wyrzec się marzeń, czy świata?
Ideałów, czy życia bez złudzeń?....
O przyjdź chwilo promienna, skrzydlata,
Chwilo natchnień—i chwilo przebudzeń!

Fantazyjo! Bądź mi siłą promienia,
Co świat głazów w blask jutrzni ozdabia;
Życie! Ty mi bądź bryłą kamienia
Którą ręka artysty wyżłabia.

I gdy przyjdzie znów chwila, co studzi
Zapał serca i myśli osnowę—
Siło ducha! Wśród życia i ludzi
Ideały twórz nowe, twórz nowe!

Julijan Mohort.

WYCHOWANIE LUDU,

PRZEZ
Emila Laveley'a
przełożył
Ludwik Szteinbok.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Nauka przymusowa i środki jej zastosowania.

P. Nothomb twórca prawa z 1842, który obecnie urządza początkowe nauczanie w Belgii, twierdzi że Państwo może wymagać od obywateli nauczenia się przynajmniej czytać i pisać; chociażby nawet, nie uznano za konieczne uczynić tę zasadę w prawie obowiązującą. Minister ten mówi w cyrkularzach swych do gubernatorów z d. 9 Kwietnia 1843 roku:

,,Prawodawca w Art. 6 postanowienia swego, umieścił program nauki, której naród ma prawo wymagać od czuwających nad jego interesami, a także minimum wiadomości jakich państwo ze swej strony ma prawo wymagać od swych obywateli."

Kodeks Cywilny w Art. 203 uświęca prawo natury, jakie mają rodzice względem nauczania swych dzieci.

W artykule tym powiedziano:

„Współmałżonkowie przez sam fakt małżeństwa, zobowiązują się wspólnie do żywienia, utrzymywania i wychowywania swych dzieci."

Nie ma wątpliwości, że prawodawca mówiąc o wychowaniu, miał na myśli nauczanie, w innym bowiem razie słowo „wychowanie" byłoby niepotrzebnem powtórzeniem słowa „żywienie." Winni więc rodzice zarówno karmić ciało, jak i umysł dziecka. Jaśniej jeszcze dowodzi tego Art. 385, nakazujący ojcu lub matce, stosownie do tego który z współmałżonków przeżyje drugiego, użytkującego z majątku nieletniego, „dać temu nieletniemu odpowiednie do jego majątku wykształcenie."

Kara dosięgająca tu rodziców łatwą jest do zastosowania, polega bowiem na pozbawieniu ich użytkowania z majątku. Ażeby przymusowe nauczanie zastosować w praktyce, trzeba nadać artykułowi 203 w tem samem znaczeniu sankcyją kary ogólnej. Zasada ta znajduje się już w naszych prawach cywilnych.

Przeciwnicy przymusowego nauczania, czynią mu dwa zarzuty; raz że ono zadaje cios wolności indywidualnej, a powtóre, że niszczy wolność nauczania. Lecz cóż to jest ta wolność indywidualna i czyjąż tu gwałci się niezależność? Czy dzieci? Zarzut ten zupełnie jest nieusprawiedliwiony. Jeżeli bowiem przypuścimy że przymusowe nauczanie targa wolność dziecka, w takim razie możemy zaprzeczyć ojcu prawa zmuszania go do uczęszczania do szkoły, a nauczycielowi zmuszania do uczenia się, co byłoby tolerancyją złego i ciemnoty.

Jeżeli zaś przymusowe nauczanie targa wolność ojca, w takim razie należy też potępić przymus wkładany na zbrodniarza, i bronić w nim źle zrozumianej i pogwałconej zasady wolności indywidualnej.

Jakto prawo karze surowo głodzących ciało dziecka, a ojciec winny, który ogałaca je z umysłowego pokarmu, nie miałby być zmuszonym do wypełniania świętego swego obowiązku, i społeczeństwo miałoby pozwalać zaślepionym ludziom, przedłużać w swem łonie ciemnotę, zbrodnię, żebractwo i wszystkie cierpienia, ogałacając część młodej generacyi z dobrodziejstwa nauki! Państwo dla swego bezpieczeństwa, ma możność nakładać na młodego człowieka ciężki obowiązek porzucenia ogniska domowego, rodziny, zajęcia swego, stracenia kilku najpiękniejszych lat w koszarach wojskowych, przelewania krwi własnej i posłuszeństwa drugiemu; ono przywłaszcza sobie człowieka, trzyma go pod sztandarami, uczy ćwiczeń wojennych i karze surowo, jeżeli się ktoś wyłamuje od tej przymusowej nauki. Otóż wszystko to robi Państwo, i ono nie mogłoby zmuszać dziecka do uczenia się, a tem samem zostania obywatelem użytecznym sobie i drugim.

Państwo mogłoby nakładać podatek krwi, a nie miałoby prawa przymuszać do nabywania dobroczynnego światła nauki i cywilizacyi. Narzucać koszary byłoby prawnem, kazać się zaś uczyć, byłoby niesprawiedliwością.

Drugi zarzut, jakoby przymusowe nauczanie gwałciło swobodę metody uczenia, równie jest bezzasadny. Ojciec sam przecież może kształcić dziecko, a gdy tego nie czyni, wolno mu wybrać taki sposób oświecania, taką instytucyją naukową, jaką uzna za najwłaściwszą, nie wolno mu tylko wcale dziecka nie kształcić, bo wolność nauczania, nie może nigdy oznaczać wolności ciemnoty.

Zarzuty powyższe robione w imie wolności indywidualnej i wolności nauczania, zdają się być bardzo podejrzanemi, gdyż czynią je przedewszystkiem nieprzyjaciele postępu i wolności, a prawdziwi jej obrońcy i lud do którego przymus ten najwięcej się stosuje, żądają przymusowego nauczania. Wypada więc, że albo ojciec który odmawia dziecku nauki, a tem samem przeczy najstalszym zasadom prawa natury i prawa pisanego, nie zasługuje na karę, albo że społeczeństwo ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek zmuszać rodziców do wywiązywania się z obowiązków, które zaciągają, dając dzieciom życie.

Państwo, tak jak każdy człowiek, trzyma się w granicach możliwości, szanuje sprawiedliwość i opiekuje się temi, którzy sami bronić się nie mogą. Zasada ta jest powszechną, to też Państwo gdy idzie o interes małoletnich, przychodzi im w pomoc przez przedstawicieli sprawiedliwości, i nie pozwala rodzicom trwonić majątku dziecka.

Jeżeli idzie o interes pieniężny dziecka, nikt nie odpiera pośredniczenia Państwa, a jeżeli idzie o interes moralny i umysłowy, czyż można narzekać na samowolę tegoż Państwa. Skądże tu sprzeczność? Dla tego że dotychczas ludzie więcej przywiązują ceny do zachowania majątku dzieci, niż do rozwijania ich zdolności intellektualnych? A jednak o ile duch przewyższa ciało, o tyle pośredniczenie Państwa więcej jest potrzebne, kiedy się odnosi do obrony interesów moralnych.

Niektórzy potępiają przymusowe nauczanie utrzymując, że pewne biedne rodziny, pozbawione są tym sposobem pomocy, jaką miećby mogły z pracy swych dzieci. Możemy zaraz na wstępie powiedzieć, że ojciec nie ma prawa eksploatować rodzących się sił dziecka dla własnej korzyści, że jestto źle zrozumiany interes robotników, gdy zaniedbują zdolności dzieci, co przedłuża przyczyny niższości tychże robotników. Wiadomości ekonomiczne dowiodły tej niezaprzeczonej prawdy, że przymusowe nauczanie nie może zmniejszać przychodu klasom roboczym. W istocie, dla otrzymania jakiego zarobku, potrzeba wyłożyć pewną ilość pracy, a chociaż jej nie wykona dziecko będące w wieku szkolnym, znajdą się przecież starsi, którzy za jej wykonanie będą wynagrodzeni, a więc nikt inny tylko klasa robocza będzie korzystała z tego zarobku, i do niej też on bez żadnego zmniejszenia powróci. Prawo to ugruntowane na teoryi, wzmocnione było faktami.

Swieże badania Anglików nad pracą dzieci dowiodły, że zakaz zmuszania ich do ciężkiej pracy fizycznej, nie tylko nie szkodził, ale nawet był pomocnym, to też nic dziwnego że inteligentni robotnicy i majstrowie upominają się o wyznaczenie dzieciom godzin pracy i nauki szkolnej.

Wykazaliśmy więc że społeczeństwo ma prawo zarządzić przymusowe nauczanie, lecz to nie dosyć, trzeba dowieść że koniecznym jest ten system, i że niedogodności nie przewyższają w nim korzyści.

Pośredniczenie Państwa często jest samowładne, mało użyteczne, lub zupełnie szkodliwe. Osłabianie samodzielności indywidualnej tak jest niebezpiecznem, że wtedy tylko trzeba się poddawać nowemu przymusowi, kiedy on koniecznym się okazuje.

Wreszcie opieka władzy powinna się zmniejszać, w miarę kiedy obywatele coraz lepiej poznają, co mogą i co powinni robić. Przypisywać Państwu nowe atrybucyje, jestto postępować przeciw dążnościom naszej epoki. I to jest właśnie uwaga, nad którą trzeba się zastanowić.

Czy atrybucyje Państwa coraz się powinny zmniejszać, aż do zupełnego zniesienia, jak utrzymują ekonomiści, czy też winny się rozszerzać, jak utrzymują inni pisarze, którzy starają się tego dowieść (*), stanowi to trudną

(*) Nikt lepiej nie bronił tego zapomnianego już dzisiaj sposobu widzenia jak p. Dupont—White. On z różnych punktów zapatrywał się na tę kwestyją i objaśnił ją uwagami tak oryginalnemi a opartemi na faktach, że korzystne jest czytanie tych prac nawet, a raczej przedewszystkiem, dla tych, którzy nie podzielają jego zdania. Patrz: L'individu et l'Etat et la Centralisation.

kwestyją, której tu niezaczepimy, fakta jednak dowodzą stanowczo, że jeżeli są zakresy w których władza się usuwa, są także inne, w których ona panu, bądź pomagać i dodawać bodźca, bądź aby uprzedzać i karać.

Niegdyś prawo regulowało pracę i wymiany, a administracyja zastosowywała te reguły, dzisiaj zupełna wolność dąży do tego, żeby być regułą. W obrębie więc produkcyi ekonomicznej, Państwo straciło swoje stanowisko; lecz w miarę kiedy ludzkość otwiera nową sferę działalności, nowe tworzą się prawa dla powstrzymania przestępstw, które mogą tam być popełniane.

Powtóre sumienie publiczne, staje się więcej czułe w niektórych punktach. To co niegdyś z obyczajami surowemi i z niejasnem pojęciem naszych obowiązków, zdawało się naturalnem, dziś uważamy za ohydne, jak na przykład rabunek miast wziętych szturmem, niewola, rzeź niewolników, poddaństwo, praca dzieci w kopalniach i fabrykach, i ta forma starożytna a nader bolesna, poddaństwa słabych. Otóż do tej ostatniej kategoryi niecnych postępków, z któremi dziś się spotykamy, trzeba zaliczyć zbrodnię rodziców, którzy ogałacają swe dzieci z wszelkiego duchowego pokarmu.

Naprożno więc mówilibyśmy w tym razie o zrzeczeniu się władzy Państwa. Wiele jest zbrodni na które dawniej patrzanoby okiem obojętnem, a za które dzisiaj ogół, więcej przeniknięty uczuciami sprawiedliwości, upomina się o karę.

Ta więc kwestyja wstępna jest już zdecydowana, pozostaje do dowiedzenia, że aby rozpowszechnić naukę we wszystkich klasach narodu, trzeba ją uczynić przymusową.

Oto jak wyraża się w tym przedmiocie wyborny pisarz P. Cousin, którego oceniano różnie jako filozofa, lecz któremu nikt nie zaprzeczy powagi w kwestyi nauczania „Prawo, które obowiązuje rodziców, opiekunów, właścicieli warsztatów lub fabryk, pod karami mniej lub więcej silnemi, aby dzieci powierzone ich pieczy, odbierały dobrodziejstwa wychowania publicznego lub prywatnego, prawo to mówię, usprawiedliwia się z tej zasady, że część wychowania konieczna do poznania i zastosowania w praktyce naszych obowiązków, jest najpierwszą z naszych powinności, a odnosząc się do obywateli jest ona tak ścisłą, jak służby wojskowej. Podług mnie, podobne prawo, słuszne samo w sobie, koniecznem jest, i nie znam kraju, w którymby kwitła oświata, a gdzieby nie było tego prawa."

Ogólne doświadczenie dowodzi prawdziwości słów powyższych P-a Cousin. *d. c. n.*

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWEJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez **Felicyjana.**

(ciąg dalszy)

Pani Marcinowej oddawna już serce jak na drożdżach rosło.

— O! dla czegóżby nie? o jej!—

— Et! żartuje sobie pani z pokornego swego sługi. No, nóżeczki szanownej pani rewizorowej całuję — jabym z nią i do wieczora siedział rad, a tymczasem już i dobrze czas do biura.

Tu spojrzał na zegarek (złoty zegarek z dewizką).

— Ja tak sobie myślę oto, rzekła z niejakim kłopotem pani Marcinowa, bo my tu czasem wieczorkiem w niedzielę — to jest u mnie, to gdyby pan — ale nie śmiem prosić — bo my nie żadne alaganty, te chcę mówić — e-eliganty (bodaj cię choroba!).

— O! z największą rozkoszą — podchwycił pan Edward. W niedzielę?

— Tak w niedzielę.

— Ach! jakżem szczęśliwy! będę służył, z największą pewnością. A czy będzie także szanowny pan Innocenty?

— Jacenty.

— Ach! prawda. Cóżem za osioł!—

— O! pan sobie ubliża.

— Wcale nie, owszem — gbybym mógł, ze złości w łebbym się kopnął piętą. Cóż to jest! jakże? już coś po raz drugi.

— Nic nie szkodzi. Bardzo mi przyjemnie.

— O! to dla mnie właśnie przyjemność cała. Ba! ba! takiego człowieka módz poznać. Ach! nie uwierzy najdroższa pani, jak mię to nad wszelki wyraz uszczęśliwia. Doprawdy, niech mię djabli porwą — takie wyborne towarzystwo...

Tu raz jeszcze w rękę ją cmoknął aż się rozległo — poczem, palnąwszy hołubca, w mazurowych podskokach jak szalony wyleciał ze sklepiku. Radość ta jego, nie tylko rejentowi udzieliła się pękatemu, nie tylko zaniepokoiły się od niej nerwowe łojówki, ale nawet Mieszek zadumany o proszku perskim nadzwyczajnego doznał wzruszenia, a pani Marcinowa do wysokiego stopnia oszołomiona swoim lokatorem, tak się uśmiała — tak się uśmiała,—że według własnego jej wyrażenia, o mało sobie nie utrzęsła żołądka.

— Szubienicznik nie chłopak — rzekła padając na stołek, — jak raz dla Agatki kawaler. Choć do schrupania, taki miły bestyja. Do biura chodzi — no, no, urzędnik i obywatelski syn. A to *dopiruj!* I ożenić się chce. Czy on kpił czy o drogę pytał, kiedy gadał, że trudnoby mu znaleść żony? Ba, ba, ja samabym za niego poszła, żeby mię tylko chciał. Jak rany Boskie kocham, to chyba nie on gonił Agatkę. A gdyby i on? Toć przecię nie co innego, tylko się ożenić chce. I pana Jacentego szanownym nazwał. I jak to on jeszcze powiedział: „Ach! niech uwierzy najdroższa pani" i w rękę pocałował (tak, tak, moja pani Pietrzycka z małej chałupki). I jeszcze mówił: — o! z największą rozkoszą, i że wyborne towarzystwo (tak mówił) — o! już to ja się nie powstydzę; trzeba będzie wystąpić. Tylko ta stara Migdalska to trochę zasypia i czasem powie ni przypiął ni przyłatał. Co prawda, to i ja nieraz, jak tam co po salonowemu chcę powiedzieć — ani rusz, język jak w pantoflu — tfu! — na psa urok. O wikarym także mówił, ślicznie pięknie. O podleśnym, to jeszcze nic nie wie — trzeba będzie zręcznie tak, w rozmowie... Nie już to jak Boga kocham, ja powiedam: że czasem jak się chłopiec uda — no, dla Agatki to wielgi los na loteryi, galant całą gębą. Ale gadaj tu z głupią.

Wieczorkiem dnia tego szczęśliwego, wiedziano już od stróża: że go sobie pan Edward zgodził za rubla miesięcznie, że mu kazał samowar nastawić, po serdelki go posyłał i po bułki, i wreszcie dał mu się herbaty napić z harakiem, wszystko zaś co potrzeba, jedynie u pani Marcinowej będzie kupował. Co do jego kondycyi, to się jednym wydało: że on do apteki którejś *chodzi*, drugim: że bodaj czy nie na komorę, innym jeszcze: że w jakiemś bankierstwie *pisze*.

Tak więc, pokazało się jak na dłoni: że pani Marcinowa jedna ze wszystkich wiedziała *szczyrą* prawdę. Poczem też, gdy oświadczyła: że ma polecenie wyszukać mu żony, Jerzuś struchlał ogromnie, Agatce się wydało zaraz że to nie on ją gonił, Magdusia zaś jęła się twierdzić z pewnością: że tamten był wyższy i bronet, więc ona daje słowo że nie ten.

Ale pan Edward jest jeszcze do tego urzędnikiem i synem obywatelskim, i pani Marcinowa zaprosiła go na niedzielę.

To usłyszawszy Jerzuś, nie mógł już wytrzymać dłużej.

— W przódy trzebaby dowiedzenia — rzekł porywczo:

— Jakiego dowiedzenia?

— Bo to te urzęmdniki i syny obywatelskie to tego...

— Cóż mi tu asan będziesz zadawał kłamstwo! — huknęła pani Marcinowa w chwilach impetu zjeżdżająca zwykle na asana.

— Ja nie według tego wcale twierdzenie robię — ale przyznam się, to jest — że ofiaruję się przyzwoicie osądzić wedle Sądu...

Na wspomnienie sądu, pani Marcinowa zamilkła zmieszana, wspomniawszy sobie pana Jacentego — ale po chwili namysłu wypaliła znowu obcesowo:

— A! tak? Ja się to tam na tem rozumiem. Wiem ja nie od dzisiaj. Zazdrość oto ta przekleta — i tyle...

Jerzuś o mało się nie spalił ze wstydu, Magdusia zaś słysząc to, mocno się zaperzyła.

— Jaka zazdrość? co? zkąd? o kogo? Przyznam się, że doprawdy...

— No już ja co wiem, to wiem.

Nie wiadomo co to takiego, wiedziała pani Marcinowa, niemniej rzeczą jest pewną: że dzień ten był dla Jerzusia jednym z mniej szczęśliwych. Już zaledwie z domu był wyszedł, zaraz miał taki wypadek: że go ktoś przechodzący mocno w nos szturgnął (tuż koło oka). Któż to był taki? Młodzieniec modny, trzymający rękę w kieszeni od palta, a w niej laskę do góry skówką, jak tego wymaga szyk niepośledni.

ROZDZIAŁ X.

Wysiadanie z konia.

W Niedzielę, gdyby nie to że sobie Julka rozbiła nos na ślizgawce, w skutek czego wcześnie się musiała spać położyć, coby to ona miała do obserwowania na onym wieczorze, w tylnej izbie sklepiku pod znakiem Bociana przynoszącego dzieci. Wszystko poszło jak z płatka, z niewielkiemi wcale wyjątkami.

Jużto panowie oba zmówili się widocznie gościa kołnierzami swemi w kąt zapędzić. W tym względzie pan Jacenty śmiało palmę hwycił. Dostojna jego głowa z taką w nich wykręcała się trudnością, jak nie bywa łatwiej wykręcać się stronie której legalny pozew doręczono. Pozwem w tym razie był halsztuch niezłomny. Że jednak prawo, nawet kiedy się prześladowczem staje, na celu ma jedynie wzmocnić porządku zbawiennego karby, więc też i tu, na głowie pomienionej, nie było włosa jednego, któryby raz przyczesany, do wyłamania się z trybu ustanowionego chęć jakąkolwiek zdradzał. Zdarzyło się to wprawdzie (i w sposób nawet dość gorszący) — wszakże już później znacznie, kiedy się w ogóle więzy karności rozprzęgły ale się o tem dopiero poniżej rozpowie. Co do Jerzusia, ten mniej był z kołnierzami swemi szczęśliwy. Trzeba zdarzenia: że je nie równo nakrochmalono — ztąd nieporozumienie między niemi, które nieustannie naprawiać przychodziło — ztąd jeden w górze bywał, drugi na dole, najczęściej załamany, podwijający się, opadły, słowem niesforny do najwyższego stopnia, co też i całe obu ich wrażenie ściśle zniżało do mniejszej połowy.

Kiedy już wreszcie szelest kroków pana Edwarda za drzwiami posłyszano, pan Jacenty w kołnierzach swoich uśmiechnął się sceptycznie, Jerzuś zaś co prędzej urządził u siebie równowagę — aliści o dziwo! co też ujrzano? Oto młodzieniec ów tak szumnie zapowiadany, czy wcale żadnych kołnierzyków nie miał? Miał owszem—ale gdzieś, jakieś, skromniuchne, przy gładzone, leżące, podwiązane tasiemeczką pokorną—i gdyby nie złoty łańcuszek (może nawet nie złoty i może do niego zegarka nie było?), za cała jego *minę* nie dałbyś trzech groszy.— Jednak baczniej się rozpatrzywszy, miał on i szkiełko na sznurku, i wyglądał ubrany zupełnie tak jak to bywają panowie woskowi za szybą u perukarza. — a pachniało od niego — no!

Pani Marcinowa spojrzała po wszystkich zwycięzko.

Tymczasem gość przybyły w prost się skierował do pana Jacentego i ująwszy dłoń jego w obie ręce, nazwał go zaraz panem Gołaszewskim, rekomendując się jako młodzieniec potrzebujący protekcyi, — dalej o stanowisku woźnego prawił, o położeniu jego zaszczytnem. Uwielbiał pisanie pozwów, do doręczenia ich wzdychał, rozrzewniał się nieodłącznemi od nich trudy, nazywał je zawodem cierniowym i szczytnem w społeczeństwie powołaniem; co wszystko kiedy mówił, widać było, jak sceptycyzm stopniowo topniał na twarzy pana Jacentego; aż się nareszcie w uśmiech dobrotliwy przeobraził, na podobieństwo słońca rozpraszającego śniegi. Toć że pan Edward o sikorze nawet wiedział. — Posłyszawszy to, Migdalska stara, wspomniała sobie znagła: że i ona znała niegdyś niejakiego Sikorskiego (słuszny był, w ósmym pułku służył — trędowaty — trochę się zająkiwał), ale ją czemprędzej zagadała pani Marcinowa, przechodząc zręcznie do pożądanej wzmianki o swoim kuzynie podleśnym, który służył u hrabiego — ten zaś hrabia do Paryża jeździł i nawet podobno był raz na morzu.

W tem ją pan Edward za rękę chwycił aż *chrupło* (tak powiadała potem).

— Któż to jest ta śliczna panna?

— Moja córka.

— Żartuje łaskawa pani — chyba siostra. Taka podobna. — Pani Marcinowa poprawiła wstążek u czepka.

— To ta co do magazynu chodzi — proszę ja pana mojego.

— A! więc to o tym magazynie pani mi mówiła? (Tu się dopiero pokazało: że on w istocie po raz pierwszy w życiu Agatkę obaczył) — Ba, ba — żebym ją był wcześniej widział — anibym chciał słyszeć o innej żonie...



Tu raz jeszcze w rękę ją cmoknął aż się rozległo.

O serce matki, jakżeś ty porywcze! Toż pani Marcinowa co najszybciej rzekła na to:

— O! ona jeszcze nie żonata, czy tam nie ożeniona — chcę mówić. Więc gdyby na ten przykład — tego...

Tu za całą odpowiedź pan Edward, rozgłośnie ją w rękę przy wszystkich pocałował, a ona.... o serce kobiece jakżeś ty zazdrosne! — ona, w tejże chwili pożałowała tego co się jej wymknęło, i rzekła sobie: — Ogromnie miły kajdaniarz! Ja samabym za niego poszła — jak Boga kocham — niech mię dyjabli porwą.

No — ale co robiący — jakby tu wieczór zabawnie przepędzić? Szumi samowar, są bułki, serdelki, masło, piwo, ser — jednem słowem:

Czegóż potrzeba dla duszy
Żeby się dostać do nieba?

Pan Jacenty nadzwyczajnie preferansa lubi (mają słabości swoje i najwięksi ludzie) — ale to oni tu stolika zielonego nie posiadają—karty już stare trochę — a gra cała na papierku ołówkiem się pisze.

Pan Edward właśnie całe życie marzył: żeby się kiedy w karty grać nauczyć.

— A! to znakomicie! — powiada na to mąż dostojny — my tu nie drogo sobie grywamy, dwadzieścia punktów za grosz — możnaby i taniej...

— O! proszę bardzo. W tak miłem towarzystwie, to choćby i tysiące przegrać, jeszcze to nie drogo zapłacone.

Tak powiedział, a za to wszyscy uczuli w sobie popęd zgrania się na jego korzyść, choćby do ostatniej koszuli. Ale któż kiedy przewidzi fortuny obroty?

Zasiedli tedy we czworo — panny przy samowarze zostały. Migdalska zaś w pobliżu pieca z torebką na ręku. Osoba nie dzisiejsza; nic dziwnego że się od czasu do czasu kiwała niechcący.

Pokazało się: że przedewszystkiem pan Edward kart w ręku trzymać dobrze nie umie, każdy więc z rozdających pomagać mu i uczyć go musiał — ale czyż to święci garnki lepią? Chłopak okazał się bystry, pojętny, jednem słowem — zdaniem pana Jacentego — *znakomicie* zdolny, i w czas niedługi poduczył się aż miło. Tylko że karta mu wciąż jakoś nie idzie—wpada a wpada— nie ze złej gry broń Boże, ale z tego utrapionego nieszczęścia — wyraźnie ktoś się w nim zakochał—któżby taki? — ha! ha!

Śmieją się do upękania. Pani Marcinowa zrobiła się czegoś czerwona aż po uszy same, ale śmieje się razem z drugiemi i jakoś to przeszło. Pan Jacenty w niezrównanym humorze. Zwykle *massę* dostaje atutów— słowem idzie mu *znakomicie* (mąż ten miał słabość także do tych dwu wyrazów). Co do pana Edwarda, ten nic sobie z tego nie robi, przegra to przegra—sam z siebie śmieje się najpierwszy—odegra się kiedyindziej — dość jest jeszcze młody...

— Ha! ha! rzecze odważnie pani Marcinowa — młody i bardzo przystojny, i nadzwyczaj przyzwoity — to pewnie nie jedna panna....

(W tem miejscu, to znów Agatka nie wiedzieć czemu spiekła raka i poszła spiesznie dmuchać w samowar).

— Ale gdzież tam, powiada skromnie pan Edward, ucierając nos w pachnącą chustkę — jaka panna? gdzie? co?—

Jednak od czasu do czasu, w przerwach do panien się przysiada.

— Przepraszam — czy można wiedzieć jak pani na imię? — pyta Magdusi.

— O i owszem, nieprzymierzając Magdalena.

— Śliczne imię! Że też to taka powabna osoba dotąd za mąż nie poszła. Musi pani być bardzo wybredna.

— O! wcale nie. Cóziem ci chciała mówić.

— No — a jak ja panią wyswatam? Ej, panno Magdaleno, pani by koniecznie powinna pójść za pana Migdalskiego.

Usłyszawszy to Jerzuś, ze strachu czy ze wzruszenia zrzucił od trzeciej damy i wpadł samochcący bez dwóch na siedm w kiery — Migdalska zaś, sądząc że to o jej mężu mowa, tylko co nie wygadała się przez sen że był stróżem. Na szczęście, Magdusia dała panu Edwardowi bardzo rozgłośnego klapsa, z czego się jawnie okazało, że mu jest odtąd serdeczną przyjaciołką.

Inną razą młodzieniec nieśmiało do Agatki się zbliżył.— Co też ona lubi? radby wiedzieć. Nadewszystko lubi tańczyć.— No i ładnie być ubrana?—Ma się rozumieć. Lubi jeszcze kwiatów dużo i także książki czytać. — A! książki! A co też ona czytała? — Czytała Monte-Christo ale brakło początku, w środku też dużo było kart powyrywanych. Tyle mieć milijonów co tamten, to dopiero rzecz śliczna.

— Ona sama warta więcej niż milijony.

— Nie może być? któż to tak powiedział?

— Każdy, kto ją tylko choć raz widział.

— Albo to prawda!

Agatka czytała jeszcze Fabiolę — ale to rzecz nudna, wolałaby już Tajemnice Izabelli i Eugenii, bo są podobno niesłychanie zajmujące (tak jej przynajmniej powiadano w magazynie). — No, a Tygodnik Powieści i Romansów? — Miała tylko początek Aktorki i coś kryminalnego — ale to było takie ciekawe! — Pan Edward z miłą chęcią wszystko to jej przyniesie; i jeszcze romanse Kocka, które są do upękania zabawne. — O Kocku słyszała już — ale to podobno rzeczy nieskromne. Gdzie zaś! Kto to powiedział? owszem nic moralniejszego. Tam zawsze cnota jest wynagrodzona, a występek tak ukarany, że już nareszcie aż litość bierze. A teatr czy Agatka lubi? — Przepada za teatrem. — Właśnie ma pan Edward znajomego aktora, od którego często może dostawać bilety...

W tem miejscu wszczęła się ogólna w tym przedmiocie rozmowa, z której się pokazało: że pan Jacenty ma także przyjaciela, woźnego przy Towarzystwie Kredytowem. Jest on kozmajstrem — ale u niego, to tylko patrzeć można przez szparę; że zaś tam cugi bywają przeklęte, więc właśnie zdarza się: że w miejscu najciekawszem, z niebezpieczeństwem nosa nagle drzwi przed tobą zatrzasną i już po całej uciesze.

Tu Migdalska jęła się twierdzić, że na paradysie to chyba jeszcze jest gorzej. Jakże? raz kiedy tam była, to ci co z tyłu stali wpierali jej łokcie w plecy (a słyszała o takich co nawet drugim orzechy na głowach pięścią tłuką, żeby się ich pozbyć) — ale i to się nawet opłaciło, bo grano Zbójców, którzy tak jej w *łeb* zajechali, że z jaki tydzień potem koniecznie brała ją ochota uciec do lasu.

Pani Marcinowej zaś ogromnie się podobał Icek zapieczętowany. — Ach! istotnie nic zabawniejszego.— Trzeba zdarzenia, że pan Edward umiał wyjątki z tej komedyi — wszyscy pokładali się od śmiechu. Potem śpiewał jeszcze z Gałganducha piosenkę z kichaniem, potem udawał niemca kolonistę i także siadającą wronę. Nie — doprawdy można było dostać śmiertelnych kolek.

Ale tymczasem partyjka nieznacznie się rozprzęgła.— Możeby rozegrać? — E, co tam, dać już temu pokój. — Pan Edward chce płacić. — O! za nic w świecie — my tylko tak na żarty grali.

Jakoś z tego śmiechu serdecznego, pan Jacenty wódeczki by kropnął do serdelka.

— No, kiedyście państwo nie chcieli przyjąć odemnie przegranej — rzecze pan Edward, to się pozwolicie przynajmniej uraczyć ponczykiem.

Tu, zanim się opatrzono, posłał po cytryny i arak, i w chwilę potem stała sporządzona przez niego samego porządna waza pełna, buchająca siarczystym płomieniem, tak samo jak to bywa niby wtedy kiedy kogo dyjabli porywają do piekła (w teatrze).

O ty zaprawdę z piekła rodem napoju kuszący! Któż raz cię skosztowawszy, nie radby więcej razy — a kto wiele razy cię skosztował, czyliż takiemu bliźni nie wydaje się trochę przygłuchy? Dla tego sądzisz koniecznie: że trzeba mówić dość głośno, następnie bardzo głośno — a w tem ten i ów wydaje ci się wcale nie rozgarnięty—więc mu wykładasz jak na łopacie — a jemu zdaje się to samo o tobie, i także gada, i gadacie razem — ale pokazuje się powoli: że to zupełnie o czem innem była mowa. O czemże tedy? Ach miły Boże! — toćże o tym świecie znikomym, zataczającym się, rozmazanym, koszlawym, który jest albo śmieszny, albo godzien płaczu!

Że się te rzeczy zdarzają gdzieindziej, czyż wnosić z tego zaraz: że się podobnie u pani Marcinowej stało? Nie można jednak powiedzieć, żeby i tam stopniowo ład nie został zachwiany — niemniej rzeczą jest pewną, że początek w tym razie wyszedł od osoby, której wiele przebaczyć należy.

d. c. n.

ZARYSY

Guberníj północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli porównamy handel i przemysł dzisiejszy na Litwie i Rusi z odległą przeszłością, dziwić się potrzeba jak mało postęp i cywilizacyja wpłynęły na ich rozwój. Bo też Ruś i Litwa słynęły z handlu w odległej nawet przeszłości. Śledzie baltyckie na pomorzu litewskiem, na cały świat słynęły. Bursztyn na wagę złota sprzedawano. Znali go jeszcze Fenicyjanie. Bobry litewskie były wysoko cenione nawet za czasów Kazimierza Jagiellończyka; miód i wosk stanowiły także przeważny przedmiot handlu wywozowego. Wilija jeszcze w r. 1380 była oczyszczoną z kamieni i do żeglugi statków kupieckich przysposobioną. W r. 1589, mieszczanie wileńscy własnym kosztem na nowo oczyścili Wiliją, na całej przestrzeni jej biegu, a dziś same tylko strugi zaledwo pływać mogą. Już w latach 1306 i 1315, kiedy jeszcze Wilno stolicą Litwy nie było, posiadało dwa domy gościnne handlowe, dla kupców przyjezdnych z Kijowa, Nowgorodu Wielkiego, z Połocka i dalszych stron. A cóż mówić o Kijowie, którego handel niezmierny sięgał dalekich krain Wschodu, który był składowym punktem towarów bizantyjskich, a nawet arabskich.

Odwieczne mogiły litewskie i rusińskie przekonywają nas jak w owej odległej epoce dostatek i obfitość były powszechne. W mogiłach tych, obok urn z popiołami lub kościotrupów, znajdujemy prześliczne i bogate wyroby śpiżowe, jakich nie znajdujemy w mogiłach polskich. Tylko Spiż na wybrzeżach Baltyku wyrównywa litewskim. Nadto pełno w mogiłach paciórek wyrobu weneckiego, szklanych, srebrnych, z masy jakiejś nieznanej, nie mówiąc już o swoich własnych bursztynowych, zapewne miejscowego wyrobu. Dużo broni rozmaitej a były przykłady, że i złoto znajdowano. Kilkadziesiąt już sztuk odkrytych bóstw rozmaitych, z kości słoniowej, ze złota lub śpiżu wyrobionych, świadczą jak o zamożności, tak również i o stosunkach handlowych. Posąg Perkunasa ze śpiżu w Kiernowie znaleziony, starannie wykonany. Kilka mitologicznych zabytków z kości słoniowej wyrobionych, a w lochu góry zamkowej wileńskiej znalezionych, należą do najpiękniejszych wyrobów owej epoki odległej.

Konstantynopol był w najdawniejszych czasach zakładowym punktem handlu z całym Wschodem. Stąd przewożono towary morzem Czarnem i Dnieprem do Kijowa, a stąd już szły na Litwę, do Nowgorodu, Pskowa i dalej do Rygi i na morze Baltyckie. W XIII stuleciu Samarkand, Buchara, Kabul, przyjmowały towary perskie, chińskie, indyjskie, skąd rzeką Oxus (Amu-Daryja), morzem kaspijskiem, w końcu Wołgą i drogą lądową, przybywały do Litwy i Rusi.

Dziś handel i przemysł na Litwie i Rusi przeważnie w ręku żydów, których tu liczą 1,100,000. Przed dziesięciu laty roczny obrót fabryczny stanowił przeszło 47 milijonów rubli — teraz mniej daleko.

Południowe prowincyje obfitują w pszenicę, jeżeli się urodzi; Żmudź sprzedaje dużo lnu i konopi, a wszystkie razem trochę zboża, za to nad miarę drzewa, niszcząc lasy coraz bardziej.

Dziś kolej żelazna przerzyna kraj w kilku kierunkach, lecz drogi pośrednicze w opłakanym stanie, komunikacyje zaś wodne bardzo zaniedbane.

O fabrykach i rękodziełach mówić będziemy pod właściwemi rybrykami, a teraz wracamy do gubernii Wileńskiej.

Handel leśny wzmaga się tu rok rocznie. Podług prawdopodobnych obliczeń, suma tego rodzaju odbytu, wynosi rocznie 1 milijon rubli. Dawniej produkt wódczany wynosił do milijona wiader rocznie: dziś wszakże, dziękować Bogu i połowy już tego nie ma. Podług wyliczeń statystycznych p. Korewy, handel zbożowy przynosi rocznie 2,700,000 rubli. Ale ta statystyka przed jedenastu laty wydana.

Pod względem fabryk, Wileńska gubernija jest bodaj najbiedniejsza ze wszystkich zachodnich. W roku 1866, podług Stołpiańskiego w ogóle fabryk było 46, przy nich pracowało około 1000 ludzi, a w tem zaledwo 51 kobiet, wartość zaś wyrobów wynosiła 510,000 rubli. Do najznaczniejszych fabryk należą papiernia w Kuczkuryszkach pod Wilnem, Pusłowskich

i wyroby żelazne w Wiszniewie, w powiecie Oszmiańskim hr. Chreptowicza. Podług zaś rządowych statystycznych danych z r. 1871, fabryk było 245, pracowało w nich 1691 osób. Wartość wyrobu wynosi 2,420,884 rub. Rzemieślników liczono w r. 1871 w całej gubernii 6849. Jak dalece handel przeszedł przeważnie w ręce żydów, dowodzi to, że w r. 1871 z 15 kupców 1-ej giełdy było 14 żydów i zaledwo 1 chrześcijanin (luteranin), drugiej zaś giełdy z 428 kupców, żydów 323, prawosławnych 27, kotolików 52, lutrów 21 i karaimów 5.

IV.

Znaczniejsze miasta i osady w gubernii Wileńskiej.

Przejdźmy teraz do znaczniejszych miejscowości gub. Wileńskiej, a zacznijmy od stołecznego miasta całego Wielkiego księztwa litewskiego, *od Wilna*.

Wspomnieliśmy już że początki Wilna, jako miasta, osady, sięgają bardzo odległej przeszłości. Już w II-m wieku po Chr. w okolicach Wilna i Wilkomierza, mieszkali słowianie *Wilcy* lub *Liticy*, którzy później przeszli na Pomorze Baltyckie, i nad Odrę. Jako świadka bardzo odległej przeszłości, mamy tu prastare grodzisko, w rodzaju wawelskiego w Krakowie, z basztą, później, zapewne w XII wieku wzniesioną, a która i do dziś dnia nazwanie całej okolicy i góry — Basztą, albo Baksztą, przechowała. Tu musiała być pierwsza osada litewska warowna jak o tem najdawniejsi kronikarze wspominają. Ale mamy jeszcze inne dowody dawnej osady, na dzisiejszem przedmieściu *Antokolu*, (od litewskich wyrazów ant-te-kalna), gdzie od najdawniejszych czasów rybacy nad Wiliją mieszkali. Na górze Bakszcie, właściwie Baszcie, jest jaskinia i w niej był smok, zwany tu Bazyliszkiem, potwór straszny, ludzi pożerający. W istnienie Bazyliszka wierzył jeszcze Jan Skowroński, który nam zostawił opisanie pożaru okropnego w Wilnie w r. 1610, którego naocznym był świadkiem. Rzeczywiście istnieje i dotąd pod grodziskiem podziemie czyli loch ze sklepieniem, z salami i framugami, kamieniami wyłożonemi. Loch ten prowadził, jak zwykle w dużych grodziskach, jak na Wawelu do Wisły, tak tu do rzeki *Wilenki*, która u stóp góry płynie i dalej na Antokolu z Wiliją się łączy. Tradycyja ludowa opowiada, a kroniki zapisały, że była tu świątynia pogańska, Atlambą zwana. Bazyliszek, wzrokiem ciekawych przybyszów zabijał, bo nikt tego wzroku wytrzymać nie zdołał. Ale w Wilnie nie trzeba było Krakusa dla zwalczenia potworu. Znalazł się śmiałek który wszedł do jaskini trzymając przed sobą duże zwierciadło, a Bazyliszek postrzegłszy swój obraz, własnym wzrokiem rażony, padł trupem. Istnieje inne jeszcze ciekawe podanie. Na Baszcie, t. j. na grodzisku, miał stać wspaniały pałac, a w nim mieszkał bogacz z jedynaczką, córką ładnej urody, ale wybrednej, dumnej, odpychającej wszystkich, którzy się o jej rękę dobijali. Bogacz umarł. Skarby źle nabyte, do lochu zapadły, a z niemi i córka, za swą dumę skazana na pokutę, aż nim ją kto modlitwą od niej nie uwolni. Tak wiele lat ubiegło. W tem pewnemu mieszkańcowi Wilna przyśniło się, ażeby zstąpił do lochu i tam pomodlił się szczerze za grzesznicę, a wtedy cudnej urody dziewica żoną jego zostanie i wszystkie jej skarby staną się jego własnością. Wszakże za warunek położono, aby wziął z sobą wszystko, co tylko potrzebnem do nabożeństwa być może, i aby rozpoczęte modły skończył koniecznie, inaczej bowiem cały układ ginie. Ów tedy mieszkaniec Wilna pewnej nocy ruszył do lochu nadziei pełen, wziąwszy ze sobą dwie świece woskowe z lichtarzami, książkę do nabożeństwa i wszystko co mu się koniecznem zdawało. Postrzegł tu rzeczywiście ogromne kufry żelazne, z pełnemi złota worami, a przy nich zaklętą na straży siedzącą dziewicę, jakby z białego wykutą marmuru. Skoro świece zapalił i psalmy pokutne rozpoczął, dziewica się wstrzęsła i radośny uśmiech na jej kamiennej twarzy zaigrał. Już do połowy odczytał psalmy, gdy raptowny wiatr wszczął się, świece coraz szybciej paląc się spływać zaczęły, a płomyki pochwycić nie mogły wysokich już na zbyt knotów; trzeba więc było koniecznie je objaśnić — *lecz właśnie szczypców zapomniał.* Mógł przecie i palcami to samo zrobić, ale strach pamięć mu odjął, modlić się przestał, świece topniały coraz silniej i w końcu zagasły. A wtedy jęk boleśny dał się słyszeć, wory ze złotem z łoskotem do lochu w głębinę zapadać poczęły, zapadła i dziewica, nieborak zaś uciekł nieprzytomny prawie. Legenda dodaje, że dziewczynę pożarł Bazyliszek, gdyż żył jeszcze wtedy.

Wracamy do dziejów dalszych miasta. Pod rokiem 1129, w kronikach jest wzmianka, że w owym czasie Wilno było stolicą pewnej dzielnicy na której siedział jakiś książe litewski *Dawil.* Mówiliśmy już że w tymże samym wieku, wędrownik i historyk islandzki Snorro — Sturlesohn był w Wilnie. Nakoniec w r. 1272, książe litewski *Germont*, w lesie dębowym pokrywającym łąkę przy ujściu Wilny albo Wilenki do Wilii, wzniósł ołtarze na cześć Perkuna i rozniecił ogień święty, postanowiwszy tu arcykapłana *Kriwę-Kriwejtę*, i wielu innych ofiarników, a miejsce to na groby, czyli całopalenie zwłok książęcych przeznaczył. Jakoż pierwszy spalony został ojciec Germonta, książe *Swintorog*, od niego dolina ta nazwę Swintoroga otrzymała i do dziś dnia ją zachowała. Ostatni zaś z książąt litewskich, spalony na tej dolinie, był sławny książe *Kejstut*, w r. 1382. Oto jak kroniki krzyżackie opisują nam pogrzeb tego ostatniego bohatera pogańskiej Litwy. Na świętem miejscu Swintoroga, wzniesiono stos suchych drzew. Na nim złożono zwłoki księcia Kejstuta, w zbroję i płaszcz książęcy przybrane. Tuż przy nim stał koń co go nosił w bojach, leżały powiązane psy i sokoły myśliwskie. Kiedy już to wszystko przygotowane zostało, kapłani rzucając rysie i niedźwiedzie szpony zapalili stos, śpiewając pochwały zmarłego. Lecz skoro gwałtowne płomienie ogarnęły i strawiły wszystko, kronikarz (Wigand) jako naoczny świadek powiada, nagle otwarła się głębsza nad wzrost człowieka przepaść, i popioły bohatera Litwy pochłonęła na zawsze.

Gdzie była dolina całopalna, tam dziś jest plac obszerny zwany katedralnym. Gdzie był ołtarz Perkuna i gorzał Znicz, tam dziś ołtarz ś. Stanisława w kościele katedralnym. Wspaniała wieża z której arcykapłan wolę bogów ludowi ogłaszał, zamienioną została na dzwonnicę katedralną.

Z tej to poświęconej doliny, czyli dzisiejszego placu, przedstawia się obecnie wspaniały widok: trzy góry zwane *Zamkową, Trzykrzyską* albo *Łysą* i *Bekieszową*, a dalej nieco, widoczny wierzchołek panującej nad niemi czwartej góry: to *mogiła Gedymina*. Są to wymowne, dziejowe i wielowiekowe świadki przeszłości Wilna i całej Litwy! Tu właśnie, na tej górze, zwanej zamkową, Gedymin wielki książe litewski i ruski, założył zamek i do Wilna w roku 1322 przeniósł swoję stolicę z Trok. Inny znów zamek zbudowany był pod górą, niedaleko świątyni Perkuna, zwany Dolnym Zamkiem, w raz ze świątynią otoczony murem. Miejsce to nazywało się *Krzywym grodem.* Mogiłę Gedymina stanowi wysoki kopiec, usypany na pamiątkę Gedymina, który poległ w bitwie z Krzyżakami pod Wieloną w r. 1339, gdzie również znajduje się taka sama góra nosząca nazwę Gedyminowej. Obie te mogiły przez wszystkie wieki nosiły nazwę Gedyminowskich; lecz która z nich kryje szczątki wielkiego księcia, z pewnością określić niepodobna. Są tylko przypuszczenia, dość wiarogodne, że ciało Gedymina obyczajem ówczesnym, spalone zostało na dolinie Swintoroga w Wilnie, a więc i góra wileńska zawierać może w swem wnętrzu urnę z jego szczątkami.

d. c n.

POGADANKI OGRODNICZE.

PRZEZ

Edmunda Jankowskiego.

Kandydata nauk przyrodzonych

Starszego ogrodnika w ogrodzie pomologicznym w Warszawie.

I.

Grunt—ziemia ogrodowa—podłoże.

Roślina czerpie pokarm z ziemi za pomocą korzeni w ten sposób, że z wodą wchodzą do roślinnego ustroju różne sole mineralne i gazy w tejże rozpuszczone. Korzenie zatem rozwijaćby się powinny w każdej głębokości skorupy ziemskiej, gdzieby tylko znalazły dostateczną ilość wody, zawierającej rozpuszczone gazy i pożywne materyje mineralne. Przypuszczenie takie pozornie prawdopodobne, napotyka główną przeszkodę w tem, że powietrze jest niezbędnym czynnikiem w przygotowywaniu roślinnego pokarmu. Wchodzi ono pomiędzy cząstki ziemi, oddziaływa na nie tlenem swoim, i najniewątpliwiej wiele procesów chemicznych składu i rozkładu ma tu miejsce. Z materyjałów surowych wytwarzają się inne które organizm roślinny przyjąć może — powstaje *grunt.* Gruntem więc nazywać będziemy tę zewnętrzną warstwę ziemi, która spulchniona działaniem powietrza i wilgoci,

zdatną jest do żywienia roślin, i w tej to jedynie warstwie, korzenie rozgałęziają się.

Ze względu na drzewa owocowe, trojakie grunta na powierzchni ziemi napotykamy; piasczyste, gliniane, wapienne. W każdej z grup przeważa, jeden drugi lub trzeci element, a kombinując się wzajemnie w różnych stosunkach, wytwarzają one tę niezmierną różnorodność gleb w agronomii, osobnemi nazwami oznaczonych. Nas bliżej obchodzić będą tylko niektóre; zanim jednak wymienimy je, poznajmy wpierw cechy każdej z trzech grup głównych.

Grunta piaszczyste, zwane lekkiemi, odznaczają się głównie tem, że wodę ssą chciwie jak gąbka, a przepuszczają, jak również i powietrze, z niesłychaną łatwością. Stąd wypływa że drzewa w nich wiecznie cierpią od suszy, a korzenie zapuszczają głęboko, ratując się od śmierci z pragnienia. Powiedzmy nawiasem, że w gruntach takich drzewa rosną słabo, ich przyrosty roczne bardzo są małe, lecz wybornie zdrzewniałe, soki przybywające naraz w małej ilości do rośliny ulegają doskonałemu przerobieniu, z czego wypływa, wczesne owocowanie. Owoce bywają małe wprawdzie lecz smaczne i pachnące.

Jeżeli w gruncie króluje glina, to obecność jej ciągle się zdradza. Nie przepuszczająca wilgoci i powietrza, tęga powłoka po dłużej trwającym deszczu, zarabia się z nim na gęste lepkie ciasto, żółtego lub czerwonego koloru, które na słońcu wysycha leniwo, lecz wysuszone twardnieje jak kamień, a kurcząc się przytem pęka w różnych kierunkach w prostolinijne rysy. Któż nie zauważył tego na mule nad brzegami rzek, w lesie. Gliny nazywają gruntami zimnemi, bo z powodu nieprzepuszczalności swej i wielkiej ilości wody, którą na powierzchni zatrzymują — ogrzewają się od słońca bardzo powolnie. Drzewa, korzeni włóknistych, miewają w nich nie wiele, mimo to obficie zasilane bo glina bogata jest w mineralne pierwiastki, bujnie się wznoszą, a za to owocują późno. Ogólne bowiem prawo przez Lindleya zauważone mieć chce, że u roślin z najobfitszego nawet pokarmu, powstają tylko liście i pędy drzewne, pączki zaś kwiatowe wtedy tylko, gdy soki starannie przerobione zostały. Owoce w gruntach gliniastych duże są, soczyste, lecz smaku i aromatu szczególniejszego zwykle bywają pozbawione.

Pozostaje nam jeszcze wapno. Nadaje ono gruntom barwę białawą, wodę i powietrze przepuszcza, od słońca nagrzewa się trudno, ale nagrzane raz zatrzymuje ciepło bardzo długo, ulegając w tem fizycznym prawom; stąd ogrodnik, rolnik, nazywają grunt wapienny palącym, a zarazem mało go cenią jako glebę dla roślin szkodliwą. Jeżeli wapno w umiarkowanej znajduje się ilości w gruncie, udadzą się na nim tylko drzewa pestkowe wiśnie, śliwy, morele, brzoskwinie i winorośl, gdy go jednak zanadto, powstaje ziemia całkiem dla drzew owocowych jałowa.

Któryż z tych trzech gruntów pod ogród owocowy wybierać? Żaden, bo wszystkie posiadają pewne zalety i wady do wysokiego posunięte stopnia. Lecz tu jak wszędzie w naturze pośrednia droga najlepsza. Piasek zanadto przepuszcza wilgoć, drzewa w nim cierpią na wieczne pragnienie, dodajmy mu stałości, wzmocnijmy go odpowiednią ilością gliny, a nabierze spoistości, cennej zalety. Tak powstała ziemia jeszcze jest cokolwiek za zimną, promienie słońca nie łatwo ją przenikają, zresztą rośliny koniecznie potrzebują pewnej ilości wapna, bądź dla zobojętnienia soków kwaśnych, bądź dla utworzenia rusztowania twardych komórek pestki. Dodajmy zatem wapna, nadto połączmy trzy te części, piasek glinę i wapno, w pewnym stosunku który z praktyki okazał się najlepszym: dajmy gliny dwie części, jednę piasku i jednę wapna, a otrzymamy typową ziemię ogrodową.

W tak wybranej ziemi mamy główne części składowe rośliny—potaż, sodę, glinkę z gliny, wapno, krzemionkę z piasku, woda dostarczy wodoru i tlenu, kwas węglany, źródło węgla, znajdą rośliny w powietrzu i życie jest możliwe. Nie—jeszcze brak tu jednej ważnej materyi o której znaczenie długie lata toczyły się wojny, niekrwawe wprawdzie choć równie zażarte jak najzaciętsze historyczne: brak zwęglonych ciał zwierzęcych lub roślinnych, próchnicy. W niej to dopiero jak w laboratoryjum wytworzy się amonijak i kwas azotowy, źródła azotu niezmiernie ważnego składnika roślin, ona ułatwi przyjmowanie gazów które chciwie chłonie, pary wodnej i t. p.

Teraz już grunt nasz gotowy. Pytanie jednak czy w takim stanie znajdujemy go w naturze. Bezwątpienia. Zresztą dobra ziemia ogrodowa może być piasczysto-gliniasta lub gliniasto-wapienna — a zawsze z domieszką niezbędnej trzeciej części i próchnicy.

Warstwa znajdująca się pod gruntem, nie wystawiona na działanie powietrza, w którą korzenie niezagłębiają się, nazywa się *podłożem* lub podgruntem. Nazywają ją jeszcze ziemią martwą, i do życia przyprowadzić ją może, kilkoletnie leżenie na powierzchni ziemi, pod wpływem atmosferycznych czynników.

Podgrunt niezmiernie ważny wpływ wywiera na grunt. To poprawia jego wady i zdatnym do uprawy czyni, to mu zalety odejmuje. Tak np. piasek spoczywający na pokładzie gliniastym, który zatrzymując wodę wilgoci mu dodaje, może karmić nawet drzewa, lecz dobry gliniasto-piasczysty grunt, spoczywający na tęgiej glinie, zanadto mokrym i zimnym się staje. Kto drzewa chce hodować, nie może się ograniczać na poznaniu gruntu samego. Koniecznie powinien się upewnić jakiej natury jest jego podłoże. Korzenie bowiem drzew owocowych szczególniej niektórych, (grusze, wiśnie) głęboko z natury swojej zapuszczają się. Cienka więc warstwa choćby najlepszej ziemi, tylko na pierwsze lata mu wystarczy, gdy przeciwnie natrafiwszy w pewnej głębokości na grunt posilny, wybornie w nim rozrastają się. Często też zdarza się widzieć kilkodziesięcioletnie jabłonki lub grusze, na piasczystym gruncie wyrosłe. Pewny to znak że w głębi inna, pożywniejsza ziemia być musi.

Gospodarstwo i przemysł domowy.

Gospodarze stawiający budynki z pruskiego muru mają często zwyczaj smarować wystawione na powietrze części drzewa czarną farbą, lub smołą. Otóż farba taka przyciąga ciepło rozgrzewa się silnie i przyspiesza psucie się drzewa. Więcej zatem polecenia godne są inne farby, a mianowicie tak zwana szwedzka farba, która mając żółty kolor nie tyle promieni słonecznych przyjmuje a drzewo chroni od psucia się. Ażeby wapno używane do bielenia ścian nie walało ubrań za dotknięciem potrzeba je przyrządzić w następujący sposób: Do rozrzedzonego wapna dolewa się 3 uncyje rozpuszczonego w wodzie kleju. Ściany oczyszcza się poprzednio i wymywa jeśli były okopcone, kwasem solnym lub ałunem. Jeśli się tu i owdzie w ścianie dziury znajdowały, to weź drobno przesianego miału od węgli kamiennych, zmieszaj z gipsem, to wszystko rozczyń z wodą i tą masą zasmaruj nożem dziury. Po wyschnięciu wypędzluj całą izbę owym klejowym wapnem, a będzie to tynk gładki i nieścierający się.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Przyszły mi na myśl dawne amazonki. Z wojskiem z podobnych rycerzy, śmiałoby można świat zawojować.

Bawoł o dzikim wejrzeniu odłączył się od stada, i zbliżał się do miejsca gdzieśmy się znajdowali. To było właśnie czego sobie życzyła piękna łowczyni. Koń poczuwszy ostrogę, rzucił się naprzód i skoczył prosto na bawoła który zrobił zwrot wtył i począł uciekać, ale nieprzyjaciel szybko pobiegł za nim i zbliżył się na odległość arkana. Węzeł zatoczył się w powietrzu i widziałem jak silnie rzucony, okręcił się do koła rogów zwierzęcia. Teraz przyszła kolej na konia zawrócić się i biedz w kierunku przeciwnym, sznur wyciągnął się i zacisnął raptownie a bawoł gwałtownie rzucony o ziemię leżał ogłuszony. Zanim mógł przyjść do siebie, amazonka powróciła doń truchtem, pochyliła się na siodle, odwiązała węzeł i wróciła galopem okręciwszy sznur na około ręki.

Swietnie, wybornie, wołała zeskakując na ziemię i głaszcząc rumaka. Piękny, bardzo piękny, ach Lolo moja biedna Lolo, jakże ja cię zapominam prędko.

Te ostatnie słowa adresowała do mustanga. Potem zwracając się do mnie, piękna nieznajoma rzekła:

— Więc to mój ten konik.

— Tak, jeżeli pani sobie tego życzy—odpowiedziałem zimno, bo czułem jak mi przykro będzie rozłączyć się z najlepszym przyjacielem.

— Nie, ja tego niechcę, powiedziała wtedy z mocą, a zaraz wybuchając śmiechem rzekła: O Kapitanie! wiem dobrze co myślisz. Wierz mi, nie byłabym zdolną przyjąć podobnej ofiary jaką chciałeś mi zrobić. Trzymaj swego faworyta, dosyć żeby jedno z nas tylko miało zmartwienie, i wskazała na leżącą klaczkę.

Pamiętaj o dzielnym rumaku; gdyby on do mnie należał, nic w świecie nie skłoniło by nas do rozłączenia się z sobą.

— Co do mnie, jest jedna tylko na całym świecie osoba dla której bym gotów to uczynić.

Mówiąc to wyczekiwałem z chciwością jaką usłyszę odpowiedź.

Ta odpowiedź dostała mi się, nie w słowach lecz w spojrzeniu. To pewna że nie zmarszczyła brwi, owszem zdawało mi się, żem spostrzegł uśmiech tryumfu i zadowolenia. Ale był to błysk tylko i serce zabiło mi na nowo słysząc jej śmiech szyderczy.

Ta jedna osoba to zapewne dama myśli pańskich nieprawdaż? Wybornie szlachetny kapitanie, jeżeli pan jesteś jej tak wiernym jak swojemu rumakowi, nie będzie miała powodu użalać się na pana. No, ale czas żebyśmy się rozstali. Do widzenia.

— Czy nie pozwoli mi pani towarzyszyć sobie do domu?

Dziękuję, jestem właśnie u siebie. A to dom mojego ojca, rzekła wskazując na hacyjendę, a oto ktoś co będzie czuwał nad zwłokami mojej Loli dorzuciła, dając znak pasterzowi który się zbliżał. Pamiętaj kapitanie, żeś stroną nieprzyjacielską; nie powinnam przyjmować twojej grzeczności a tembardziej nie mogę ci ofiarować gościnności. Ty nie masz pojęcia co to za tyran ten Santa-Anna.

Kto wie może w tej chwili jego szpiegi są właśnie tutaj i przy tych słowach rzuciła podejrzliwe spojrzenie do koła.

— Ah! krzyknęła.

Wzrok mój padł na człowieka, który właśnie schodził z pagórka.

— Najświętsza panno to on, to Iżurra.

— Kto to jest Iżurra?...

— Jest to mój kuzyn ale...,

Zawahała się i zmieniając nagle ton głosu powiedziała mi.

— Ah opuść mnie. Przez miłość Boga, zostaw mnie, adieu, adieu!

Chociaż miałem ochotę przyjrzeć się temu człowiekowi, zmiękczony prośbą pełną obawy, oddalałem się pospiesznie. W chwili wktórej zbliżałem się do brzegu lasu, ciekawość, a może silniejsze jeszcze uczucie podburzyło mnie i pod pozorem poprawienia strzemion, obróciłem się na siodle i rzuciłem okiem przed siebie.

Iżurra zbliżał się do miejsca które opuściłem. Był to człowiek wysokiego wzrostu, w ubraniu szlachty meksykańskiej, to jest w kaftanie, w pantalonach wojskowych niebieskich, w szkarłatnym pasie, na głowie miał kapelusz płaski z szerokiemi wstążkami. Lat mógł mieć około 30, duże wąsy i bokobrody, mógł uchodzić za ładnego w swoim rodzaju, ale powierzchowność jego na chwilę tylko zwróciła moję uwagę, bo myslałem wyłącznie o tem tylko co uczynić zamierza.

Zatrzymał się, naprzeciw swojej kuzynki nad którą miał widoczną przewagę, ponieważ jak mi się zdawało, stała przed nim z pewną uległością i obawą.

Iżurra trzymał jakiś papier w ręku, i widziałem że wskazywał nań coś mówiąc. Jego postawa miała w sobie coś dzikiego co mu dodawało podobieństwa do sępa i na taką nawet odległość—jestem w stanie powiedzieć, sądząc po wybuchach głosu. że mówił z gniewem.

Zdawało mi się że ma jakąś osobliwą przewagę nad tym młodym umysłem, z taką uległością młoda kobieta wysłuchiwała zarzutów.

Miałem ochotę spiąć ostrogą konia, i podążyć na miejsce cwałem—i z pewnością byłbym to uczynił gdyby ta scena dłużej się przeciągnęła, ale właśnie młoda kobieta spiesznie się oddalała w stronę *hacyjendy*.

Odwróciłem głowę w drugą stronę, a zagłębiając się w las, począłem wyszukiwać drogi prowadzącej do wioski. Potem oddałem się myślom jakie mnie opanowały, pozostawiając koniowi kierowanie się własnym instynktem.

Moje dumanie przerwało niespodziane „*kto idzie*“ rzucone przez pikietę wtedy to dopiero spostrzegłem że stoję na progu wioski.

ROZDZIAŁ VI.

Otrzymuję polecenie pójścia za żywnością.

Przygoda moja odżyła we śnie; ale w widzeniu tem była jedna postać co na nią jak czarna chmura, rzucała cień ponury.

Tą postacią był Iżurra. On to budził mnie w chwili gdy śniłem spokojnie.

Im więcej myślałem o wypadku, tem więcej zdawałem sobie sprawę z silnego zainteresowania się młodą dziewczyną. Nie było to proste zajęcie się, była to namiętność, co w przeciągu godziny owładnęła całą moję duszę.

Nie pierwsza to moja miłość, dochodziłem trzydziestki i nie raz już się kochałem—to też zrozumiałem siłę uczucia jakiego doznawałem.

Opisać przedmiot mojej namiętności, było by zadaniem na które się nie odważę. Nie mogliście nigdy widzieć coś równie pięknego jak Isolina de Vargas.

Jak opisać te bujne włosy miękkie, połyskujące, te oczy podłużne, ocienione frendzlą rzęs czarnych, te ząbki białe jak perły, te różowe aksamitne policzki. Ale co nadawało tej dziewczynie piętno szczególnego uroku to niezwykła harmonija przymiotów moralnych, i kształtów fizycznych.

Przypatrując się grze tej fizyjonomii, śledząc odcień mieniący się na jej licu, ten uśmiech różnorodny, to oko błyszczące pod długą zasłoną rzęs—i to spojrzenie raz pełne czułości, to znów szczególniejszego wyrazu, widząc to wszystko razem, przeczuwało się w głębi duszy nieporównaną doskonałość.

Patrzyłem w przyszłość z rozkoszną nadzieją, nie bez pewnej jednak obawy. Nie zapomniałem naszego prędkiego rozstania, nie zapomniałem że nie zachęciła mnie bynajmniej do odnowienia znajomości. Żadnej więc nadziei ujrzenia jej kiedykolwiek, chyba że traf ślepy posłużyć mi zechce. Postanowiłem nie spuszczać się zupełnie na przeznaczenie, ale dopomódz mu o ile to będzie możliwem.

Z jakie pół kopy planów przesunęło mi się po głowie—ma się rozumieć że wszystkie prowadzić miały do jednego celu, zawiązania znajomości z Isoliną de Vargas.

W tych niespokojnych czasach, prawdopodobnie wychodziła bardzo mało, a tu za dni parę a może za godzin parę mogłem dostać rozkaz pomaszerowania dalej i nie powrócić do tego miejsca które mnie teraz tak bardzo obchodzi.

Okręg znajdował się wprawdzie w stanie wojennym, a ja byłem prawie dyktatorem jego, mogłem weiść gdzie mi się podoba, ale nie uczyniłem tego.

Mogłem przypatrywać się błyszczącym murom pięknej hacyjendy aż dopóki by mi serce nie pękło, ale jakże się tam dostać...

Wymyślałem tysiące projektów, które odrzucałem jeden po drugim, aż oczy moje padły na przedmiot który miałem przed sobą — na sznur biały przywiązany do siodła. To arkan który wydał mi się kotficą zbawienia. Trzeba go było oddać komu należało, i to oddać osobiście samemu. O to do jakiego stopnia dopomogło mi przeznaczenie.

Teraz mogłem mu już zaufać spokojnie. Zapaliłem cygaro, i wszedłem na taras żeby lepiej obmyśleć plan mojej kampanii.

Zaledwie przeszedłem się parę razy, jakiś jeździec przybiegł galopem na plac. Miał na sobie mundur dragoński, poznałem odrazu ordynansa ze sztabu głównego.

Posłyszałem że pytał o dowódcę przedniej straży. Jeden z moich ludzi wskazał na mnie. Ordynans zbliżył się do domu w którym kwaterowałem, i oświadczył że przybywa z depeszą od naczelnego wodza, i pokazał złożony papier.

Prosiłem aby mi go podał na końcu szabli co zrobiwszy oddał mi ukłon wojskowy i puścił się w drogę z powrotem. Otworzyłem depeszę i oto co w niej znalazłem.

Kwatera główna 5 Lipca 18...

Panie! Zabrawszy stosowną liczbę ludzi, udasz się pan natychmiast, do hacyjendy dona Ramona de Vargas, leżącej w pobliżu posterunku jaki zajmujecie. Pięć tysięcy wołów jakie tam znajdziecie, odstawisz pan do obozu i zdasz komisarzowi jeneralnemu. Znajdziesz pan tam już i ludzi potrzebnych do odprowadzenia bydła, dodasz im tylko eskortę z części swego oddziału. Nota dołączona, objaśni pana bliżej o naturze tego posłannictwa.

A. A. Adjutant jeneralny

Do kapitana Warfield.

Bez wątpienia, powtarzałem sobie czytając te słowa, bezwątpienia prawdą jest, że Opatrzność rządzi naszemi myślami. W chwili kiedy łamałem sobie głowę, jakby się dostać do Ramona de Vargas, odbieram polecenie udania się do niego. Nie myślałem już o arkanie. Mając do wypełnienia podobny obowiązek. śmiało udam się do hacyjendy i przestąpię progi z pewnością człowieka, który ma prawo do dobrego przyjęcia.

Ah a ten Iżurra, zapomniałem o nim, czy on będzie w hacyjendzie. Wspomnienie tego niegodziwca rzuciło ponury cień na cudowne widziadła, jakie snuły mi się po głowie.

Depesza z głównego sztabu musi być natychmiast spełnioną, przerwałem więc te rojenia dla dania moim ludziom stosownych rozkazów. Nie tracąc czasu, kazałem piędziesięciu wsiąść na konie.

Zacząłem się ubierać z większem niż zwykle staraniem, kiedy przyszło mi na myśl że naj-

lepiej zrobię, dowiedziawszy się co zawiera nota do której odesłano mnie w depeszy. Otworzyłem papier i ze zdziwieniem zobaczyłem że dokument pisanym był po hiszpańsku. Nie zaambarasowało mnie to i przeczytałem te słowa:

Stosownie do aktu kupna i sprzedaży, trzymam do twojej dyspozycyi pięć tysięcy wołów, ale nie mogę przyjąć na siebie ich dostawy. Trzeba mi je zabrać przemocą, a dobrze by nawet było, ażeby ten co będzie przez was przysłany, okazał trochę grubijaństwa. Moi pasterze są na rozkazy, ale ja nie mogę żadnych co do tego wydawać im poleceń.

„Ramon de Vargas.“

Nota adresowana była do komissarza jeneralnego wojsk amerykańskich, a chociaż nie była dosyć jasną dla tych co w interes ten nie byli wtajemniczeni, dla mnie była jasną jak słońce. Dokument ten dobrze zapewne świadczyło zdolnościach administracyjnych don Ramona de Vargas, mnie jednak nie zrobił wielkiej przyjemności. Trzeba mi było przybywać po nieprzyjacielsku, wybijać do drzwi pięściami, kopać nogami pasterzy, a i ich panu nakazać z całem grubijaństwem marudera, wydanie pięciu tysięcy sztuk bydła. Ah! jak ja się przedstawię oczom Izoliny!

Chwilka zastanowienia przekonała mnie jednak, że musiała onabyć w tajemniczoną w te rzeczy. Zrozumie, myślałem sobie powód mojego niegrzecznego obejścia, a zresztą postaram się postępować z całą delikatnością, o ile tylko okoliczności na to pozwolą.

Zostawię mojemu adjutantowi hałaśliwe obchodzenie się z pasterzami, a i jemu nie każę dopuszczać się zbyt wielkiego grubijaństwa.

Jeżeli moja piękność nie jest zamkniętą, muszę ją chociaż ukradkiem zobaczyć.

Na konie!.. Trąbka zagrała hasło, pięćdziesięciu szerogowców skoczyło na koń, dwaj adjutanci Holingsworth i Wheatley stanęli po bokach i po chwili pomaszerowali przez plac dwójkami a ja na ich czele.

Dziesięć minut kłusa i znaleźliśmy się u bramy hacyjendy przed którą też zatrzymaliśmy się.

Ta ogromna, jakby więzienia strzegąca brama, była zamknięta na klucz i opatrzona żelaznemi sztabami, tak samo i okiennice przy oknach. Ani żywej duszy nie było widać do koła.

Dałem rozkaz adjutantowi umiejącemu po hiszpańsku, wypełnienia mojego planu.

Skoczył z siodła, zbliżył się do drzwi i zaczął walić z całej siły kolbą.

— Otwórzcie wołał!

Żadnej odpowiedzi.

— Drzwi, drzwi, otwierać, powtórzył głośniej jeszcze.

Znowu po za bramą grobowe milczenie.

— Otwórzcie krzyknął raz jeszcze, i zaczął mocniej wybijać.

Kiedy to wybijanie ustało—ciche, „kto tam.“ dało się słyszeć z po za bramy.

— To ja! ryknął Wheatley. Otwierajcie natychmiast.

— Dobrze panie, odpowiedział głos z pewnem drżeniem.

— Tylko prędko, my jesteśmy uczciwi ludzi.

Dał się nakoniec słyszeć brzęk żelaza i odsuwanie zasuwek, co trwało z parę minut, po czem szerokie podwoje otworzyły się na rozcież i zobaczyliśmy stróża stojącego przy bramie.

Jak tylko bramę otwarto, Whetlej rzucił się na drżącego człeczynę, uchwycił za kaftan, wytargał za uszy, po czem piorunującym głosem przywołać kazał pana.

Ten sposób postępowania, który powinien był zdziwić moich żołnierzy podobał im się właśnie. Słyszałem jak mi się śmieli po za plecami. Chociaż byli gerylasami, nie przyzwyczajono ich do żadnych nadużyć względem bezbronnych mieszkańców, a nigdy bodaj nie widzieli swoich oficerów używających przemocy. To pewna że nie raz były skargi w szeregach a nawet pomiędzy oficerami, że nazbyt łagodnie obchodzono się z Meksykanami, nawet najwięcej nam nieprzyjaznemi. Zachowanie się Whetleja poruszyło strunę która bardzo przyjemnie zagrała w sercach naszych awanturników. Myśleli że nasza kampanija stanie się trochę weselszą niż przedtem.

—Senor, bełkotał odźwierny, mój pan wydał rozkaz, że nie chce widzieć się z nikim.

—Nie chce? powtórzył Whetlej, to powiedz mu że ja się chcę z nim zobaczyć.

—Tak przyjacielu dodałem łagodniej, bo się obawiałem żeby człowieczyna nie zestraszył się za bardzo. Idź powiedz swojemu panu że oficer amerykański ma do niego interes i że musi się z nim widzieć bezzwłocznie.

Odźwierny zniknął popchnięty jeszcze przez Wheatleja, i pozostawił naturalnie bramę otwartą.

Nie czekaliśmy jego powrotu, podwórze zdawało się nas zapraszać. Dawszy rozkaz Helingsworthowi, pozostania na zewnątrz z oddziałem, wziąłem ze sobą drugiego adjutanta podjechałem przed wielki przedsionek i stanąłem przed mieszkaniem, don Ramona de Vargas.

ROZDZIAŁ VII.

Don Ramon.

Dostawszy się na dziedziniec, mieliśmy przed sobą widok wcale dla nas nowy. Podwórze domu meksykańskiego, ma swoję właściwą fizyjonomiją, tu nie widzisz już owych drzwi i okien więziennych, ale fasady zdobne freskami, werendy poubierane firankami i wystawy oszklone aż do ziemi. Podwórze mieszkania don Ramona było wybrukowane cegłą, pośrodku szemrała fontanna w basenie lakierowanym, pełno drzew pomarańczowych, a ich liście złote, owoce i kwiaty napełniały atmosferę która chłodzona przez nieustanne parowanie wody zachowywała pachnącą świeżość.

Ze trzech stron tego dużego podwórza rozciągała się werenda, której posadzka, z malowanej cegły wznosiła się parę cali po nad brukiem. Szereg kolumn podtrzymywał sufit tej werendy otoczonej sztachetami i sztorami na całej swojej długości. Sztory te były szczelnie zasłonięte, wyjąwszy w jednem miejscu to jest u wejścia, które się znajdowało pomiędzy dwoma kolumnami; korytarz jak i okna wychodzące na werendę były również zasłonięte.

Żadna twarz ludzka nie ukazała się tu naszym oczom.

Dopiero w tylnej części domu, tak zwanej *corral*, ujrzeliśmy wielką liczbę niewolników z gołemi nogami w sandałach, pasterzy w całem bogactwie ich stroju z bawełnianego aksamitu z wiszącemi guzikami, w galonach srebrnych lub złotych, i masę kobiet i młodych dziewcząt, w sukniach najrozmaitszych kolorów.

Ta część przedstawiała widok bardzo ożywiony, tu było pomieszczenie dla bydła, bo własność don Ramona de Vargas, była folwarkiem przeznaczonym na hodowlę, co mu przecież nie ujmowało w niczem dostojności, większa bowiem część hidalgów meksykańskich zajmuje się hodowlą na wysoką skalę.

Wjechawszy na podwórze rzuciłem okiem na tylny *corral*, na werendę i firanki, a nie znalazłszy czego szukałem, zwróciłem się ku tarasowi. Dom był jedno piętrowy; z siodła mogłem widzieć dobrze co się tam dzieje, i zobaczyłem że to istna świątynia rzadkich kwiatów i krzewów, wychylających z po za parapetu swoje szerokie liście i bogate korony. Ale tej, którą pragnąłem zobaczyć nie było i tutaj. Żadna twarz nie ukazała nam się jeszcze, żaden głos nas nie powitał. Dochodziły nas tylko krzyki pasterzy, śpiew ptaków w klatkach pozawieszanych w zdłuż korytarza, i szmer fontanny. Ptaki i pasterze zamilkli, jak tylko posłyszeli odgłos kopyt końskich na kamiennych płytach, jedna tylko fontanna nie przestawała swoich miłych i monotonnych szeptów.

Oczy moje przebiegły znowu po firankach, śledząc uważnie najmniejszą szparkę, zapomnianą przez niedbalstwo czyjejś ręki, wzniosły się znowu na taras i przebiegły go do koła, ale i tym razem bez skutku.

Z Weathlejem który jak i ja siedział ciągle na koniu, nie zamieniliśmy ani słowa, czekając na powrót odźwiernego, a tymczasem niewolnicy, pasterze i dziewczęta zalegli w głębi drzwi, i zaczęli się z zadziwieniem przypatrywać tej niespodzianej wizycie.

Nakoniec po długiem oczekiwaniu odgłos kroków dał się słyszeć w korytarzu—i ukazał się odźwierny zapowiadając przybycie pana.

W chwilę potem odsunięto firankę—i stary hidalgo ukazał się za sztachetami. Był to mężczyzna wysoki, chociaż trochę pochylony już wiekiem, trzymał się jednak jeszcze dobrze. a w całej jego postawie widać było energiją i stanowczość. Oczy miał duże błyszczące, ocienione gęstemi białemi jak śnieg brwiami. Ubranym był skromnie bez kamizelki i krawata, koszulę miał bardzo białą z cieniutkiego płótna, pas ciemno niebieski, kapelusz ze słomy z Guaquil, w ustach trzymał zapalone cygaro.

Powierzchowność don Ramona, pomimo strasznej jaką przybrał surowości, przemawiała na jego korzyść i zdradzała człowieka inteligentnego.

— Zbliżyłem się do werendy, stanąłem naprzeciwko gospodarza, czy pan jesteś don Ramon de Vargas? zapytałem.

—Tak panie, odpowiedział mi tonem zdziwionym i rozgniewanym.—Jestem, mówiłem dalej głosem podniesionym, po hiszpańsku, tak

eby mnie słyszeli niewolnicy i pasterze, jestem oficerem armii amerykańskiej, przysłano mnie tu aby zaproponować panu sprzedaż wołów, dla naszej armii. Mam rozkaz jenerała głównego który...

—Ja nie mam wołów do sprzedania, przerwał don Ramon gniewnie. Nie chcę mieć żadnych stosunków z armiją amerykańską.

—W takim razie, będę zmuszony zabrać woły bez pańskiego pozwolenia. Pan będziesz zapłacony, a ja muszę zrobić swoje, mam rozkazy których mi nie spełnić nie wolno.—Nadto pańscy pasterze odprowadzą to bydło do obozu.

To powiedziawszy, dałem znak Helingsworthowi, a ten, przywołał stojący zewnątrz nasz oddział i zajął się zgromadzeniem pasterzy aby ich zapędzić do roboty.

— Protestuję przeciwko temu nikczemnemu napadowi! krzyczał na całe gardło don Ramon. To podłość, to nadużycie praw wojennych ludów cywilizowanych. Odniosę się do naszego rządu, poskarżę się rządowi waszemu—i uzyskam sprawiedliwość....

— Zapłacą wam don Ramonie.

— Zapłacą. Caramba, kto, kto mi zapłaci? złodzieje, rozbójnicy?

—Zobaczymy odezwał się Wheathlej, który nie był w tę sprawę wtajemniczony i traktował rzecz na seryjo. Przygryź sobie siedm razy ozór za nim co powiesz, bo inaczej zapłacisz czem droższem niż woły. Pamiętaj do kogo mówisz.

—Do kogo?.. do bandytów, do rozbójników wrzasnął don Ramon z całych sił, kładąc nacisk na te wyrazy, które spowodowały by użycie rewolweru przez Wheathleja, gdybym w tej samej chwili nie szepnął słów, parę na ucho wrzącemu adjutantowi.

A to bestyja odpowiedział ja myślałem że on seryjo mówi. No stary, odezwał się do don Ramona, o dolary się nie turbuj. Ojciec Saw jest handlarzem liberalnym i dobrym płatnikiem. Chciałbym być właścicielem twoich wołów, i mieć jego przyrzeczenie że za nie zapłaci. To też uważasz, bierz tę sprawę trochę wolniej, bez tych wielkich gniewów.

Don Ramon położył koniec gadaninie, zasuwając gwałtownie firankę i usuwając nam się z przed oczu.

Podczas całej tej sceny, z trudnością zachowywałem pozór obojętności, ale uważałem że i meksykanin powstrzymywał się z równą trudnością. Można było spostrzedz w kąciku jego bystrego i przenikliwego oka, jawną chętkę do śmiechu, który powstrzymywał tylko umiejętnością panowania nad sobą, i myślałem po parę razy że jeden z nas utraci swoję krew zimną. Ja z pewnością bym się nie powstrzymał, gdyby moje oczy i serce nie były gdzie indziej. Co do don Ramona, ten bawił się w grubą grę i oddał swoję rolę doskonale.

Kiedy zasłaniał firankę, jego *„adieu* kapitanie," które sam tylko słyszałem, było pełne łagodności i uczułem się zadowolonym, gdy wyprostowany na siodle, wydałem rozkaz spędzenia wołów.

ROZDZIAŁ VIII.

„Papelcito."

Wheatlej pospieszył za oddziałem, na czele którego Holingsworth dostał się już do *corral*, a zaraz potem banda przewodników z obu adjutantami udała się na stepy, na których pasła się większa część bydła don Ramona.

Tym sposobem pozostałem sam, a na około mnie kilkanaście dziewcząt od kuchni, przypatrujących mi się z obawą i ciekawością. Firanki werendy były szczelnie pozasłaniane, nie mogłem zobaczyć żadnego poruszenia.

Ona jest za nadto dobrze wychowaną, obojętną może myślałem sobie, a to ostatnie przypuszczenie nie pochlebiało mi wcale. Toć teraz kiedy tamtych nie ma, don Ramon mógłby mnie do siebie poprosić.

Nie—te kobiety mogłyby się wygadać — lepiej uczynię pospieszając za swojemi.

Rzuciwszy raz jeszcze okiem dokoła zawróciłem niezadowolony, spiąłem konia i wyjechałem za bramę w bardzo złym humorze.

Step przedstawił mi się teraz w całym swoim obszarze, poprawiwszy się więc na siodle zacząłem się przypatrywać scenie pełnej życia, jaka się tu rozgrywała.

Woły na pół dzikie latały na wszystkie strony rozjątrzone szalenie. Pasterze na lekkich *mustangach*, w powiewających pasach i z arkanami owiniętemi na rękach, cięższe konie szeregowców, pomagających nie zbyt zgrabnie pasterzom, daleko od nich zwinniejszym i wprawniejszym, stada już połapane i trzymane nie bez trudności, głośne nawoływania i śmiechy żołnierzy których to polowanie bawiło, przenikliwe głosy niewolników, wszystko to tworzyło obraz któremu w każdej innej okoliczności, przypatrywałbym się z zajęciem.

Ale teraz nie byłem wstanie tem się zajmować i chociaż oczy moje patrzały na stepy, myśli błądziły gdzieindziej.

Nie podobna mi było wierzyć żeby scena podobna mogła się odbywać pod samemi prawie oknami mieszkania i żeby jego mieszkanka zwłaszcza tak żywa jak Isolina, nie raczyła rzucić spojrzenia na to co się działo.

O tak mówiłem sobie, pomimo tych zasłon te dwoje pięknych oczu, patrzą ukradkiem czy to przez okno czy też przez jakiś otwór ukryty w murze, to rzecz konieczna prawie. I odwróciłem się w stronę domu bo przyszło mi na myśl, że nie dobrze obejrzałem front hacyjendy. Jakeśmy się zbliżali widziałem że okiennice były zamknięte, ale zamykały się z wewnątrz można więc było je uchylić. Znając wewnętrzne urządzenie mieszkań meksykańskich, wiedziałem że okna frontowe należą do głównego apartamentu, w tych właśnie pokojach musiał być gospodarz domu.

Jakiż ja głupi żem stał tak długo na podwórzu! Gdybym był w koło objechał, może...

Ale jeszcze czas.

Zachęcony tą nadzieją przejechałem znowu *corral* i powróciłem na podwórze. Służące stały jeszcze gwarząc ciągle, zasłony tak samo były nie poruszone. Wjechałem pod sklepienie bramy która była otwartą tak jakeśmy ją zostawili, spojrzałem do stancyi odźwiernego, była pusta. Biedny człowiek schował się, z obawy powtórnego spotkania z adjutantem.

Chciałem znowu zwrócić konia żeby przejechać jeszcze raz pod oknami, gdy usłyszałem „Kapitanie“ wymówione głosem na który zadrżało mi serce.

Spojrzałem w okna, tak samo były zasłonięte jak przedtem.

Zanim miałem czas bliżej się zastanowić, drugi raz głośniej wymówiono „kapitanie“. Poznałem wtedy że głos pochodził z tarasu.

Podniosłem oczy nie zobaczyłem nikogo, ale w tej chwili, ujrzałem rączkę, prawdziwą rączkę Wenery, wyciągniętą przez szparę w parapecie i trzymającą coś białego. Nie mogłem pojąć co by to było, dopóki nie rzucono na trawnik i nie powiedziano *„papelcito“*

Pochwyciłem bilecik, spojrzałem w górę, odjechałem nawet trochę żeby mój wzrok sięgnął dalej, moje oczekiwania nie zawiodły mnie, zobaczyłem Isolinę.

Jej prześliczna twarzyczka ukazała mi się przez mały otwór, a duże jej czarne oczy, patrzące z tą właściwą im ironiją i powagą, sprawiły mi radość i przykrość zarazem.

Chciałem do niej przemówić gdy nagle zmieniła fizonomiję, odwróciła się prędko, przyłożyła paluszek do ust i zniknęła po za murem parapetu.

Chwilę nie wiedziałem co robić pozostać czy odjechać—prawdopodobnie Isolina nie musiała porzucić tarasu.

Ktoś nadszedł, mogłem nawet słyszeć rozmowę, jej głos odbijał rażąco od grubego głosu drugiej osoby.

Chciałem się oddalić, kiedy przyszło mi na myśl że lepiej zrobię jak zacznę, od dowiedzenia się co zawiera bilecik. Rzuci on zapewne jakie światło na położenie i na dalsze zachowanie się moje, a co mi się uśmiechało najwięcej to pozostanie dłużej w tem drogiem dla mnie miejscu.

Schowałem ów papelcito na piersiach i zacząłem upatrywać miejsca gdziebym go mógł przeczytać bez świadków. Wielki wjazd sklepiony zdawał mi się najstosowniejszym — tam więc skierowałem Mora. Odwróciwszy się w ten sposób, żeby ukryć twarz przed oczyma dziewcząt, wyciągnąłem mały bilecik, a chociaż był pisany ołówkiem i pospiesznie, z bijącem sercem czytałem go.

„Kapitanie wiem że wybaczysz nam naszę niegościnność. Przypomnij sobie to com ci powiedziała wczoraj, — obawiamy się więcej naszych przyjaciół jak naszych nieprzyjaciół, mamy właśnie w domu gościa którego ojciec, lęka się więcej niż pana i pańskich strasznych towarzyszów. Kapitanie, nie tylko żeś zabił moję faworytkę ale zabrałeś mi mój arkan. Czy chciałbyś zabrać mi wszystko?..

Adieu

Isolina.

Schowałem bilecik i zamyśliłem się nad tem co zawierał.

Jedna część była bardzo jasną, druga dosyć tajemniczą. Naszych przyjaciół więcej się obawiajmy niż naszych nieprzyjaciół. Sprawa z wołami, wtajemniczyła mnie do tyla w położenie, że zrozumiałem co to znaczyło. Don Vargas sprzyjał amerykanom. Nie znaczyło to zapewne, ażeby tak godny człowiek, mógł być zdrajcą swojego kraju. Jako patryjota oświecony, pragnął widzieć Meksyk w szczęściu i pokoju, ale oswobodzony od despotyzmu narodowców.

Było dużo podobnie myślących w klassie do której należał senor de Vargas, to jest pomiędzy przemysłowcami i właścicielami.

Z resztą i to być może, że przywiązanie don Ramona do sprawy amerykańskiej, miało mniej szlachetne przyczyny. Może te pięć tysięcy głów wołowych, ważyły coś na tej szali. Wszystkie moje uwagi, miały na celu wyjaśnienie owego dwuznacznego frazesu, który piękna Meksykanka powtórzyła aż dwa razy.

Obawiamy się więcej naszych przyjaciół, aniżeli nieprzyjaciół.

Jak w jednym tak w drugim wypadku, nieprzyjaciele mniej byli straszni dla don Ramona, niż własni rodacy.

Ale to co następowało potem, było więcej jeszcze zagadkowe, „a właśnie mamy gościa którego mój ojciec bardzo się obawia."

To już tajamnica jakaś!

Iżurra był ich kuzynem, mówiła mi to sama, dla czego więc tak go się potrzebują obawiać. Czyż by był kto jeszcze w domu.

I to bardzo być może. Mieszkanie było obszerne, mogło się w nim sporo pomieścić. Z tem wszystkiem myśli moje, ciągle się snuły około Iżurry, sam nie wiem dla czego ale zdawało mi się koniecznie, iż jego to właśnie chciano wymienić, iż on to był owym, postrach rzucającym gościem.

Jego szorstkie obejście się z Isoliną, ton cierpki i złośliwe spojrzenie, pomieszanie jej i obawa, oto podstawy na których gruntowały się moje domysły.

Tak, to Iżurra był tym złym genijuszem, którego lękał się don Ramon i Isolina. Aby tylko nie dał Pan Bóg ażeby go pokochała, jak mówi poeta.

Poruszony temi myślami, rozbierałem dalej wyrazy kończące bilecik, tutaj znajdowała się jeszcze pewna niejasność w wyrażeniu. Czas pokaże czy je umiałem dobrze sobie wytłomaczyć, może domysły zanadto trochę zgadzały się z pragnieniami ale, z niekłamaną radością w sercu, przeczytałem zdanie ostatnie i wyjechałem z pod sklepienia z twarzą rozjaśnioną.

ROZDZIAŁ IX.

Dawna nienawiść.

Konia puściłem wolno i niedaleko zatrzymałem go, chociaż byłem wewnętrznie przekonany że widzenie się dziś z Isoliną było niepodobieństwem. Nie mogłem się powstrzymać, ażeby nie pozostać trochę dłużej przy jej mieszkaniu. Mogłem ujrzeć ją jeszcze na tarasie chociaż na chwilkę, chociaż na tyle tylko, ile potrzeba na kiwnięcie rączką na znak pożegnania.

Kiedy oddaliłem się trochę od muru zatrzymałem się znowu, obróciłem na siodle, żeby raz jeszcze spojrzeć na taras, ale zupełnie inną ujrzałem tam osobę. Co za sprzeczność pomiędzy jej kształtną twarzyczką a tą, na którą teraz patrzyłem. Dla wielu mężczyzn dla wielu kobiet nawet, piękna to mogła być głowa—w moich oczach była szczególniej szkaradną. Zapewne sąd mój surowy, więcej się do wyrazu moralnego aniżeli do fizycznego odnosił, a i w sercu własnem znalazłbym może przyczyny do tego niekorzystnego wrażenia. W innych okolicznościach nie byłbym tak gwałtownym krytykiem twarzy Rafaela Iżurry, bo to on stał oparty na parapecie tarasu.

Spojrzenia nasze skrzyżowały się i te pierwsze spojrzenia postanowiły o przyszłych naszych stosunkach. Było to wypowiedzenie wojny.

Nie zamieniliśmy ani słowa a jednak, powiedzieliśmy sobie oczami najwymowniej.—Jestem twoim nieprzyjacielem.

Nie starałem się wcale analizować tego uczucia gwałtownej, bezwiednej nieprzyjaźni, chociaż przyczyna była dosyć prosta.

Co do mnie mogłem ją sobie z łatwością wytłomaczyć i kiedy trzymałem oczy wlepione w twarz tego człowieka, czułem rosnące w sobie uczucie prawdziwej nienawiści.

To wypowiedzenie wojny myślałem sobie, i rzeczywiście, było formalnie wyrażone przez nas obudwu.

Nie przemówiliśmy do siebie ani słowa, nie było tego potrzeba. Każden z nas odgadł w drugim rywala, rywala chcącego wydrzeć sobie serce prześlicznej kobiety, najładniejszej w całym Meksyku.

Czyż potrzeba się dziwić żeśmy się tak znienawidzili od pierwszego spojrzenia?..

Wyczytałem coś więcej jeszcze w zachowaniu się Iżurra, miałem przed sobą złe serce, naturę grubijańską.

Jego oczy duże i piękne, bo to trzeba przyznać miały wyraz zwierzęcy. Nie brakowało im inteligencyi, ale intelegencyja tutaj była wadą bo oddychała okrucieństwem i złą wiarą—Piękność Iżurry była podobną do piękności Jaguara. Miał minę człowieka skończonego w swoim rodzaju, przyzwyczajonego do tryumfów na gruncie łatwych miłostek, bez serca, człowieka obojętnego, fałszywego.

Iżurra znał moję, tajemnicę jego wzrok mi to mówił.

Wiedział dla czego ja tutaj pozostaje tak długo, uśmiech szyderczy na ustach oznajmił mi to—widział moje usiłowania zobaczenia jej, i ufny w swoje położenie, z przyjemnością przypatrywał się mojemu niepowodzeniu.

Przez cały czas tej obserwacyi, nie spuszczaliśmy ze siebie oczów, jego spojrzenie wzgardliwe, stało się za nadto obrażającem, żebym je mógł znosić dłużej—nic nie powiedziawszy—i miałem już wybuchnąć, kiedy odgłos kopyt końskich zwrócił moję uwagę w inną stronę. Jeździec wjeżdżał na pagórek prosto z pastwiska, poznałem w nim adjutanta Holingswortha, który też zaraz stanął przedemną.

Kapitanie Wardfield rzekł, bydło zgromadzone, cóż mamy dalej robić. Niedokończył bo oczy jego przypadkiem podniosły się na taras i zatrzymały na twarzy Iżurry. Zachwiał się na siodle, oczy gwałtownie krwią zabiegłe rzucały dzikie błyski, a usta drżały konwulsyjnie. Przez chwilę coś gwałtownie zaparło mu oddech i nie mogłem zdać sobie sprawy z wyrazu jego oczu. Była w nich jakaś radość piekielna, nie stosowna na tej twarzy poważnej, na której nigdy nie widziałem uśmiechu, ale prędko wytłomaczyłem sobie jej znaczenie. Nie było to uczucie przyjaźni—ale pragnienie dawno oczekiwanej zemsty.

Nagle Holingsworth roześmiał się na całe gardło i krzyknął:

Rafael Iżurra, do stu piorunów.

To powitanie z groźnym okrzykiem, spowodowało skutek magiczny. Widziałem że Iżurra wie z kim ma do czynienia.

Twarz jego ogarzała, pobladła i pokryła się sinemi plamami, a oczy latały do koła rzucając spojrzenia niepewne i wystraszone. Odpowiedział tylko przekleństwem, które mu się bezwiednie wyrwało. Zdawał się nie być w stanie nic powiedzieć, zdziwienie i strach trzymały go na miejscu, bez poruszenia, bez głosu. Zdrajco, podły morderco, ryczał Holingsworth, znajduję cię na koniec.

d. c. n.

KORESPONDENCYJA

„Opiekuna Domowego"

Lwów dnia 1 Stycznia 1875 r.

(Dokończenie.)

Przechodząc nareszcie do spraw bieżących zaczynam od stanu oświaty; podając według wykazów urzędowych cyfry. W dwu uniwersytetach, krakowsklm i lwowskim, było słuchaczów w r. 1873—razem 1481; w obudwu akademijach technicznych 692; uczniów w gimnazyjach krakowskich i trzech lwowskich 5,740; w gimnazyjach realnych galicyjskich 826, w szkołach realnych 1,961. Szkół ludowych jest w Galicyi na przeszło 6,000 gimn. samoistnych 2,764 a uczęszcza do nich dzieci 156,056. Do ostatniej liczby należałoby dodać, iż tyle jak podano na papierze uczęszczać by powinno, ale ściśle biorąc nie uczy się tyle dzieci.

Prywatne usiłowania podniesienia oświaty były na chwilę zamarły prawie i dopiero pod koniec, roku 1874 zaczynają dawać znaki życia na nowo. Jeżeli wzmogą się, to będzie to zasługą znowuż owej części czynnej społeczeństwa o której kilkakroć była wzmianka, dalej „Towarzystwa pedagogicznego" i dziennikarstwa.

Z zadaniem oświaty nie tylko ludowej, ale oświaty w ogóle, z podniesieniem intelektualnym stanu mieszczańskiego miasteczek i mieszkańców przedmieść grodów większych, związaną jest sprawa dobrobytu. Na podniesienie tego wiadomo jaki wpływ wywiera kredyt, a tego tutaj brak prawie zupełny. Na całą Galicyję jest pięć kas zaliczkowych dla kredytu drobiazgowego, dla przedsiębiorców, mniejszych i ludzi prywatnych, korzystających z kredytu i obowązanych w takim razie do zostania członkami „Towarzystw zaliczkowych". Nic więc dziwnego, że lichwa pochłania nietylko ciemny lud wiejski, ale wysysa oraz soki żywotne, średniej klasy miast. Ciekawą byłaby statystyka wykazująca, ilu urzędników, młodzieży, rzemieślników, artystów, i wielu innych we Lwowie, siedzi w kieszeni lichwiarzy, jak tutaj przeważnie Izraelitów. Ci to—smutna prawda ale niewątpliwa — są najzjadliwszemi wrogami wszelkich spółek i towarzystw, dążących do wytworzenia kredytu racyjonalnego, opartego na procencie umiarkowanym. Ileż to nieszczęśliwych dostało się w szpony tych bankierów brukowych, tak dalece, że gdy się zbliży 1-szy każdego miesiąca

to dłużnik za progiem kasy zaraz czycha i odbiera całą pensyję, całą pracę mozolną miesiąca. Wówczas rozpoczyna się targ. Zmiłuj się panie Hersz—woła ofiara— cóż ja pocznę? Nu, żeby pan wiedział, co Hersz nie taki zły, to ja zapłacę mieszkanie za pół miesiąca, a jak pan zarobi, to mi odda, a to co teraz dam, to się dopisze do kapitału.— Ale ja nie mam żyć z czego! —protestuje ofiara.— Aj, aj,—to nic, ja panu przyniesie cukier, kawę, mąkę—nu— i dam codzień piędziesiąt grajcarów — to się dopisze. — No, to z resztą dobrze—rzecze nieśmiało dłużnik, ale żonie mojej potrzeba kapelusza, parasolki... Wierzyciel nie pozwala nawet dokończyć, ale woła: Uf, jakie wielkie rzeczy, ja mam taki fajn gite towar, akurat jak dla pani—nu, a że mam serce, to jeszcze pokredytuję—to się dopisze. —I jak się zacznie dopisywać, kapitał z procentem, a właściwie z lichwą rośnie do takich rozmiarów, że wreszcie żyd wydaje już tylko po dwadzieścia centów dziennie a dobija do kapitału po guldedenie. Nie bajka to i nie luźne nawet fakty, ale dość gęste a koniec ich, może czytelnik łatwo w duszy dośpiewać. Nie łzy już wówczas płyną z oczu uciśnionych ludzi i rodzin, gdyż nędza znieczula, ale krew upływa. Znika ona w pracy nad siły, w skutek nędznego wyżywienia, zgniłego mieszkania, z braku ciepłego okrycia, ożywczej myśli, którąby obieg krwi przyspieszyła i dała energiję.

A dobroczynność powiecie publiczna, prywatna gdzież one?.. Publiczna na pstrym koniu jeździ to dosyć a zresztą zajmują się nią sfery takie, które rade pokrywać czyn każdy płaszczykiem hipokryzyi i takich tylko ubogich szukają, którzy poniżają się kłamaniem nabożeństwa. Kto zamiast pracować szczerze, umie obłudnie bić się w piersi, zawracać oczy przy każdym wymówieniu „Bóg“ pochylać głowę, tego poniekąd dosięga dłoń dobroczynności publicznej. I jeszcze jedno zresztą: społeczeństwo lwowskie rade chwyta maksymy i teoryje najświeższe, ale nie dla tego, by je w czyn wprowadzić, ale by niemi „zablagować“. I tak, na ustach wielu gdy radzą komu: praca, samopomoc, energija, samodzielność, i to na ustach ludzi, którzy wcale nie owemi zaletami, ale po prostu w skutek *zbiegu okoliczności*, albo zapomocą rozwielmożnionych tu *protekcyj* dobili się stanowiska lub mienia i znaczenia. Ile to rzeczy protekcyja ułatwia! Ludzie zamożni nie wstydzą się żebrać o stypendyja dla dzieci swoich, odbierając środki kształcenia *ubogim*; ludzie stosunkowo nawet majętni, nie wstydzą się wydzierać uzdolnionym posad znośniejszych, łącząc po kilka obowiązków, z których nie spełniają oczywiście żadnego sumiennie. i t. d. i t. d.

Jeżeli w obec takich stosunków pytałby kto skąd taka pochopność do krytykowania wszystkiego co się dzieje na bruku lwowskiem, to jeżeli znał Lwów a pyta, nie wiedział chyba jasno *jak się* dzieje i nie miał poczucia, jakby się dziać powinno. Dla nieznających jednak położenia, musi być inna odpowiedź. Pokolenie młodsze, choćby wychowanie jego było spaczone, przynosi z sobą pojęcie raczej *dobrego* niż złego, i staje w obec zadań życiowych jeżeli nie z czcią to przynajmniej z obawą czy podoła zadaniu; cóż więc powiedzieć ma na to, gdy zobaczy że do dopięcia owych celów osobistych, najprostsza droga, krzyża? Jużcić słabszy używa protekcyi, poniża się, korzysta z okoliczności zawsze ze szkodą bliźniego, bo korzystanie prawe obowiązkiem, ale cóżby było, gdyby i lepsza, energiczniejsza cząstka społeczeństwa poszła w te pędy? Nie byłoby może pochopności do krytykowania, czyli słowem nie byłoby kontroli jawnej, choćby jawnie nadużywano stosunków, do celów osobistych w większej jeszcze mierze. Do wypowiedzenia tych słów kilku zniewoliły mię luźne tu i owdzie napomknienia na miejscu, a po części i głosy innych korespondentów do innych pism warszawskich. Jak grzechem jest zbyteczny pesymizm, tak znowuż nierównie większym zabarwienie na różowo opłakanych stosunków. Prawda, istotne położenie rzeczy, odmalowane wiernie nie może i niepowinno zrażać chętnych do pracy, a jeśli zniechęci nie zdecydowanych, to jakkolwiek szkoda ubywających czynników w pracy społecznej, z drugiej jednak strony lepiej, gdy się wie o siłach prawdziwych a nie łudzi temi, które słabną i wpół drogi ustając nie siłą już, ale niepotrzebnym są ciężarem.

Dla poparcia powyższego weźmy naprzykład stosunki dziennikarskie we Lwowie. Przywiodę fakta w formie zapytań, z nich szanowny czytelnik poweźmie wyobrażenie, a chcący prostować krzywe drogi. sprostuje, jeżeli notabene będzie mógł zadać temu fałsz z ręką na sercu, z okiem utkwionem w rzecz i sumienie. Czy to nieprawda, że we Lwowie wszystkie jakie są dzienniki polityczne, ignorują *zawsze* dla antagonizmów osobistych, dla pewnego kierunku odmiennego— ignorują najżywotniejsze sprawy społeczne, jeżeli którą z nich podniósł dziennik obozu przeciwnego? Czy to nieprawda, że z powodu tychże odmiennych *odcieni* zapatrywań, ludzie nadający ton mniemaniu powszechnemu, nie znają się, unikają wzajemnie? Czy to nieprawda, że ludzie nawołujący do jedności i skupienia sił w pracy społecznej, sami nie wytworzyli ogniska, około którego skupiałyby się głowy dla narady w sprawach takich, które mimo odmiennych przekonań wysokiej polityki, powinny obchodzić wszystkich? Czy to nie prawda, że w razie mylnego zapatrywania jednego z organów opinii, inny nie znajduje choćby naganny surowej w swoim głosie, ale śmiech szyderski albo potępienie, albo czynizm gdy go nie stać na co innego? Tak jest. Z drugiej zaś strony jest niesłychana drażliwość, idzie zawsze o pierwszeństwo w podniesieniu myśli pożytecznej; wówczas nie rozwija się jej, nie popiera wszelkiemi siłami, ale walczy o to, kto pierwszy napomknął o czemś pożytecznem. W takim razie nie cofamy się i nie idziemy też naprzód. Zaczarowane koło aż miło.

Koniec roku 1874 przyniósł nam jeszcze to, co nazywamy ruchem umysłowym, to jest we Lwowie dwa dzienniki, poświęcone sprawom społecznym i literackim, a i nowy jak już donosiłem dziennik polityczny codzienny, pod tytułem „Ojczyzna.“ Jednocześnie prawie zapowiadano nam wydaw. *Tygodnia* i *Ruchu Literackiego*, choć projekt drugiego z nich powstał później. *Tydzień* wychodzi pod redakcyją p. A. Rogosza, przedtym wydawcy dzieł J. I. Kraszewskiego i Biblijoteki Powieści i Romansów, a oraz i *Dziennika Polskiego* do marca 1874 r. Zaletą *Tygodnia* jest, że nie spuszcza z oka chwili bieżącej, obznajmiając czytelników z wszelkiemi zdobyczami umysłowemi, wadą zaś jego, że dotykając spraw domowych, społecznych, nie wyczerpuje przedmiotu do głębi. Wszedłszy raz na drogę artykułów wstępnych jak to uczynił *Tydzień*, należy poruszać w nich i rozwijać kwestyje w samej rzeczy będące zadaniem społeczeństwa a nie tylko pytania, jakie książki czytać wypada, wydawać i t. p. Tytułów do podobnych artykułów nie brakłoby, ot choćby takich: ospałość umysłowa, samodzielność, brak energii, brak wytrwałości i w. i. Pojmujemy poniekąd, iż trudne to zadanie w Galicyi, gdzie cokolwiek za gorzka prawda, zniechęca czytelników. Wszelako zadanie to wypełnić potrzeba. Tym łatwiej zaś może to zrobić *Tydzień*, gdy z drugiej strony podaje wiele rzeczy, które znowuż zachęcić, zaciekawić i przywiązać mogą czytelnika. Z Nowym rokiem podjął także p. Rogosz wydanie zbiorowe dzieł *Józefa Dzierzkowskiego*. Dla prenumeratorów *Tygodnia*, nabycie powieści tych niezawodnie znakomicie charakteryzujących pewne czasy, i pewne sfery galicyjskie— bardzo ułatwione. Dzierzkowski mniej znany w Królestwie a nieoceniony należycie w Galicyi, choć utwory jego były tu rozchwytywane i bardzo poczytne, może śmiało być policzonym do pierwszych powieściopisarzy. Szorstki on niekiedy, w malowaniu słabostek i spaczonych obyczajów bezwzględny, ale obrazy jego pełne życia i prawdy. Znał lud i wady jego, znał niemniej dobrze arystokracyją galicyjską i stwarzał postacie nietylko pełne życia, ale i pełne humoru. Pierwszą powieścią zapowiedzianą w tej edycyi jest powieść *Kuglarze*, dalej w tymże tomie pojawić sie ma *Rodzina w salonie*, *Szpicrut honorowy* i t. d.

Drugiego nowego pisma literackiego pod tytułem *Ruch literacki*, jest redaktorem p. Bronisław Zawadzki, znany tłómacz Estetyki Lemckego, wydawcami zaś pp. Gubrynowicz i Szmidt, obecnie także wydawcy dzieł Kraszewskiego, Biblijoteki najcelniejszych Romansów i Powieści i dzieł specyjalnych o gospodarstwie lasowem. Księgarnia pp. G. i S. wystąpiła później o kilka tygodni z prospektem, wydała jednak pisma zapowiedzianego do końca r. 1864, numerów 13. O *Ruchu* powiemy tyle, że pomimo zawartych w tym czasopiśmie prac bardzo wytrawnych, treści doborowej, za mało czyni zadość nazwisku swojemu. Kierunek główny więcej zwrócony w sferę archeologii literackiej niż ku zdobyczom umysłowym dnia dzisiejszego. Podaje również jak „Tydzień“ artykuły wstępne, ale są one dorywcze, widocznie bez systemu prowadzone.

Sumując to co nam koniec roku i początek nowego przyniósł, powiedzieć możemy: dzięki Bogu i za to. Życzy niezawodnie każdy bezstronny człowiek, by obadwa te pisma znalazły poparcie, by redakcyje uwzględniając głosy życzliwe, dążyły do ulepszeń, a wydawcy, żeby choć strat nie mieli, gdy o korzyść na razie trudno. Gdyby dobrym chęciom wydawców odpowiedziały choć w części: zainteresowanie, chęć czytania w Galicyi, rzeczywisty ruch umysłowy, to i wiele rzeczy, wiele faktów po roku przedstawiłoby się może w in-

nem świetle w korespondencyjach lwowskich.

A! i o teatrze bodaj słówko. Do niedawna jeszcze chodziliśmy do swiątyni Melpomeny śmiać się tylko jedni, inni może litować nad śmiechem niedorzecznym, patrzeć nieustannie na Dwu złodziei, Piękną Helenę, Życie paryskie i t. p. farsy—Obecnie... obecnie mamy pewność, że nie zastygły w nas wszelkie popędy podnioślejsze, lepsze, chodzimy na dramata, poważne tragedyje i nie ziewamy wcale.

Zmianę tę na lepsze zawdzięcza publiczność lwowska, obecnemu kierownikowi artystycznemu, którym jest pan Ładnowski. Działalność jego pożyteczna dla sceny ustała była jakiś czas, gdy z powodu nieporozumień z byłą dyrekcyją wyniósł się był do Krakowa. Obecnie za powrotem jego, wróciło również wielu artystów nie pierwszorzędnych wprawdzie, ale utalentowanych. Nie pojmuję skąd „Kuryjer Warszawski" poczerpnął taką wiadomość o teatrze lwowskim, jaką podał w numerze niepomnę którym z końca Grudnia zeszłego roku. Mowa tam o jakichś strasznych rzeczach, które mają niejako dziać się w teatrze lwowskim. Nie wdając się w polemikę niepotrzebną, muszę jedynie w imieniu prawdy sprostować twierdzenie we wspomnionem piśmie wyrażone, jakoby p. Ładnowski zerwał kontrakt z dyrekcyją krakowską. Kto w Galicyi czytuje *Czas* wychodzący w Krakowie, wyczytał zapewne publiczne oświadczenie tego artysty i zapowiedź, iż wraca do Lwowa. Czynności zaś nowego komitetu dyrekcyjnego, to jest: pp. Woleńskiego, Łazowskiego i Huberta są tego rodzaju, iż postarali się o kilku nowych członków, o ożywienie repertuaru, o sprowadzenie na gościnne występy panny Kleczkowskiej śpiewaczki opery niegdyś paryskiej, obecnie zaś wiedeńskiej—i t. p.

Za mało może uwzględnione bywają w korespondencyjach sługi waszego, sprawy teatru w ogóle, ale nie bez przyczyny. Dopóki publiczność lwowska, nie wyleczy się choć częściowo ze słabości wyłącznej dla fars, dopóki nie będzie uważać sceny jako ważnego czynnika w życiu społecznym lecz tylko za miejsce lekkiej rozrywki, dopóty nie poczytam sobie za obowiązek, zdawać sprawę, jakie wrażenie na przykład zrobiło Życie paryskie lub inna sztuka francuska, z pozorem poważnym a w gruncie zachęcająca do wiarołomstwa, życia bez celu, miłości bez jutra a szalonej do namiętności uprawnianej sofizmatami i w. i. rzeczy. Dyrekcyja obecna robi już swoje, zobaczymy co zrobi szanowna publiczność.

T. S.

ŚLADY ŻYCIA.

III.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Z przyjemnością notujemy dziś pocieszający ślad życia. Czy to wskutek pobudek od prasy pochodzących, czy też z innych przyczyn, odbieramy obecnie dość często listy, żądające wskazówek co do zakładania czytelni tak ludowych jak i naukowych. Kilka tego rodzaju zamówień na znaczne partyje książek mamy też przyobiecanych, a ze względu na cel, pośrednictw takich bardzo się chętnie podejmujemy. W żądaniach tych, to jeszcze zasługuje na uznanie. że poszukiwane są głównie książki poważniejsze—a fundusz nie raz znaczny, z bardzo drobnych i dla nikogo nieuciążliwych składek pochodzący, dowodzi, że myśl działania zbiorowego przyjmuje się po dworach i dworkach, ku ogólnemu pożytkowi.

Wszystkim tym usiłowaniom serdecznie życzymy powodzenia i wytrwałości.

Jesteśmy w teatrze wielkim na koncercie Mikołaja Rubinsteina. Sala przepełniona od góry do dołu a loże przedewszystkiem, jaśnieją doborem naturalnych i sztucznych wdzięków. Tak zwana śmietanka towarzystwa, tym razem nie spóźnia się nawet jak zwykle, a przynajmniej z małemi tylko wyjątkami. Jednem słowem, wszystko znamionuje pewną uroczystość. Ukazanie się mistrza wywołało lekkie oklaski górnych sfer sali i za chwilę znów nastała cisza.

Mikołaj Rubinstein, może mieć lat około czterdziestu, posiada miłą powierzchowność a twarz jego pomimo pewnego spokoju, zdradza wrażliwość artystyczną. Na publiczność mało zważa—cały zatopiony w ulotnej krainie dźwięków. Nawet wtedy gdy nie gra, znać iż duchem bierze udział w grze orkiestry, która, mówiąc nawiasem, pod kierunkiem p. Zarzyckiego wzorowo spełniała swe zadanie. Pomimo bardzo chłodnego zachowania się publiczności, już po pierwszych uderzeniach artysty znać było, że siła sztuki działać zaczyna. Sąsiadka moja z parterowej loży, która — mówiąc jeszcze raz nawiasem — śliczne miała oczy—utkwiła je w koncertanta. Ustęp grany w tej chwili, był dziełem Schumana i nosił tytuł: „Wieczorem." Wieczorem! Mój Boże, jakże tu nie podeprzeć białą dłonią (mówię przez domysł, bo widziałem tylko rękawiczkę) rozmarzonej główki i nie westchnąć z cicha, tak jak westchnęła moja sąsiadka. „Dlaczego?" na to odpowiedział tenże sam Schuman w drugim ustępie, który ten właśnie tytuł posiadał. Dla czego? — Dlatego że poezyja istnieje jeszcze na świecie.

Gdy przyszło *„Au bord d'une source"* Szuberta, oczy mojej sąsiadki spuściły się i uważałem, że nie chciałaby w tej chwili spotkać się ze wzrokiem siedzącego obok młodzieńca który przeciwnie, nie zdawał się obawiać tego spotkania, bo niewiem nawet czy zapamięta z koncertu jak Rubinstein wygląda, ale za to niezapomni pewno tej miłej główki, która go tak dobrze pojmowała. „Marsz wojskowy" Liszta mniej zrobił wrażenia na mojej sąsiadce ale zato towarzysz jej był zentuzyjazmowany i nie pomnąc na swe nowe rękawiczki zapamiętale bił brawo, w czem mu zresztą cała sala pomagała. Zapał rósł z każdą chwilą a „Walc z Fausta" był właśnie tą pobudką która skłoniła sąsiadów moich, tym razem już do wzajemnego spojrzenia na siebie, przy podnieconem ożywieniu twarzy. Koncertant tymczasem kłaniał się bardzo nisko i znać było, że jest już nieco mniej obojętnym na oznaki tryumfu. Trzeba też było słyszeć jak zagrał na zakończenie *Andante i Scherzo* Litolffa! Ani jeden ton nie zginął w tej fali szalonych efektów, któremi nas zasypywał jakby od niechcenia, bo też nieporównana czystość i poezyja gry, są przedewszystkiem cechami jego talentu. Nie ma w nim tego ognia, którym się odznacza gra Antoniego Rubinsteina i tej potęgi twórczej, ale misterność rzeźby muzycznej, delikatność obok niesłychanego mechanizmu, trudno już chyba wyżej posunąć. Nie było też końca wywoływaniom gdy umilkły ostatnie dźwięki fortepijanu, i koncertant rad nierad musiał jeszcze zagrać jeden z najpiękniejszych Nocturnów Szopena, a zagrał go tak cudownie, że sąsiadka moja jestem tego pewien, jeszcze długo o nim wśród nocy marzyła.....

Zauważyliśmy że od pewnego czasu gra w bilard między młodzieżą gimnazyjalną coraz więcej się upowszechnia. Znamy np. cukiernie, a nawet dosyć podejrzane knajpy, w których młodzież mundurkowa, całe wieczory ba.. i całe niekiedy ranki poświęca bilardowej rozrywce. Że podobne przepędzanie czasu nie wychodzi na dobre, zbytecznem byłoby dodawać, a nadmienić możnaby jedynie, aby panowie właściciele bilardów podrostkom umundurowanym, odmawiali stanowczo. Chwalebny zresztą zwyczaj ten zauważyliśmy, w cukierni p. Trojanowskiego na Mazowieckiej ulicy, i z przyjemnością zalecamy go tu publicznie. Sami byliśmy świadkami jak czterem czy pięciu uczniom gimnazyjalnym, dążącym z zapałem na salę bilardową, właściciel cukierni zabronił tam wstępu, przedstawiając w sposób naturalnie grzeczny, że w zakładzie jego gra w bilard, uczniom gimnazyjalnym, z zasady, i wcale dozwoloną być nie może, bo na to niepozwala jego własne sumienie. „Rodzice niejednego z panów. dodaje łagodnie uczciwy gospodarz wydają może ostatni ciężko zapracowany grosik, aby synkowi dać naukę; a czyż synek i ja z nim, razem moglibyśmy mieć sumienie, fundusz podobny obracać na naukę...gry bilardowej?" Wyznajemy, że podobnem postępowaniem właściciela zakładu zbudowaliśmy się prawdziwie i pragnęlibyśmy też gorąco aby przykład ten ze strony innych zakładów cukierniczych, tyle pożądane w tym razie, naśladownictwo wywołał.

Rozszerzany współudział Chrześcijan w handlu *w niczem* nie wpłynie na postęp ku dobremu „kwestyi żydowskiej."

„Rozumowania o zbycie produktów, o zawiązywaniu spółek i różnych pomocy dlań, do *niczego* nie prowadzą."

„W ogólności przesądzamy *ważność* spółek it p.„

Co byś też czytelniku powiedział, spotkawszy szereg takich kapitalnych nonsensów w jednem z pism publicznych? Naturalnie każdy z posiadających choćby najelementarniejsze wykształcenie ekonomiczne i znających choćby najpowierzchowniej stosunki i potrzeby kraju, gotów by własnym oczom nie wierzyć, a jednak tak jest w istocie, i wszystko to, to jest wszystkie zdania powyższe widzimy najwyraźniej *wydrukowane* w Nr. 3-cim *„Gazety Warszawskiej"* w rubrycе wiadomości bieżących. Że G. W. zwykła bardzo często wygłaszać swoje bardzo zacofane opinije, to rzecz

powszechnie wiadoma, aby jednak konserwatyzm tego pisma, sięgnął tak daleko i to na polu ekonomicznem, tego, nie śmielibyśmy przypuszczać. Radzibyśmy jednakże wiedzieć co by też „Gazeta Warszawska" w miejsce szerszego udziału w handlu i tworzenia spółek ekonomicznych zaleciła nam ze swej strony? Czy może pilniejsze jeszcze wertowanie polityki?.. Eh...to chyba dzisiejszych potrzeb ekonomicznych kraju zaspokoić nie byłoby w stanie...

Niedawno odbyły się na kolei Wiedeńskiej wybory członków Zarządu istniejącej przy tejże kolei *kassy zjednoczenia* i w wyborach tych ważna bardzo, zdaniem naszem, nastąpiła zmiana. Jak dotychczas bowiem *nie śmiano* wybierać kogo innego jak tylko samych panów dygnitarzy, którzy choć mają sami arcy wygodne i popłatne miejsca, nie wiele się troszczyli o los i kierunek instytucyi utworzonej z ciężko zarobionego grosza, białych murzynów. Czy więc kasa mogłaby tym ostatnim przychodzić, w naglących razach z rzeczywistą pomocą i czy zakres jej działalności mógłby być więcej upożytecznionym—nad tem, acz w zasadzie ważnem pytaniem, dotychczasowe zarządy nie łamały sobie głowy bo dla nich zresztą kasy zjednoczenia mogłyby wcale nie istnieć. Nie było tu słowem dotąd, żadnego pierwiastku opozycyjnego, nie mogło więc być i żadnej odpowiedniej reformy, bo takową zastępowała apatyczna... rutyna. Z prawdziwą też przyjemnością dowiedzieliśmy się o rezultacie wyborów na drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, na których do zarządu kasą o jakiej mowa, obok naczelników wydziałów zaproszono niemniej niektórych nadkonduktorów, maszynistów, dozorców drogowych i t. p. Fakt to dodatni z dwu względów— najprzód że dowodzi iż wyborcy mniej tą razą szli za popędem... bierności, kierowali się więcej osobistem niezależnem zdaniem. a powtóre godną jest uwagi i ta okoliczność, że tym tylko sposobem właśnie w zarządzie kasy zjednoczenia wytworzyć się może pewien żywioł opozycyjny, a z nim i owa pożądana reforma instytucyi przyjść może rychlej do skutku.

Wiadomość nie efektowna ale dla panów rolników ciekawa. Oto komitety gubernijalne do spraw włościjańskich w Król. Pol. przygotowują podobno projekt zniesienia służebności wiejskich, który ma być przedstawiony do rozpatrzenia władzy wyższej. Kwestyja uregulowania „serwitutów" oddawna cięży nam i na kieszeni — wolno więc pocieszać się nadzieją, że będzie lepiej.

Niemałem powodzeniem cieszą się nasze przedstawienia amatorskie. Dzięki gorliwości i umiejętności p. Jasińskiego, b. Dyrektora teatrów dwukrotnie powtórzone przedstawienia amatorów w Tow. Dobr. udało się wyśmienicie. Grano komedyje *List* Fredry i *Pierwszy Mąż* w przeróbce z francuzkiego. Z pomiędzy amatorów, głównie zwracał na siebie uwagę pan Józef Kotarbiński, znany dotychczas jako sumienny i uzdolniony krytyk teatralny. P. Kotarbiński już wcześniej dał nam poznać swój talent w deklamacyi, do której, piękny głos jego wysoce się nadaje. Nie wiemy czy szanowny Aktor-krytyk, zechce stalej poświęcać się wystąpieniom dramatycznym, ale pragnęlibyśmy, ażeby niezaniedbywał tak pięknej sztuki jaką jest deklamacyja, i częściej ozdabiał nią nasze zebrania w tutejszem Towarzystwie Muzycznem.

Przekłady dzieł naszych, niestety tylko z dziedziny literatury pięknej, mnożą się z każdą chwilą. „Posażna jedynaczka" Fredry syna, o której powodzeniu w Lipsku wiadomo już czytelnikom naszym—równie przychylne znalazła przyjęcie w Petersburgu na niemieckiej scenie. W tymże języku ma być wystawioną w Wiedniu komedyja ś. p. Chęcińskiego „Szlachectwo duszy" przełożona przez p. Elsnera tutejszego właściciela apteki.—Nowa zaś komedyja p. Lubowskiego, którą u nas niezwykłą zrobiła furorę, znalazła na raz aż dwu tłumaczy i ma być przedstawioną w Berlinie i w Petersburgu. W tem ostatniem miejscu wyszło także niedawno tłomaczenie rosyjskie powieści Kraszewskiego „Dziwadła".

Do liczby czterdziestu blisko pism warszawskich ma przybyć jeszcze nowe i to w dadatku poważne. Gdyby nie obawa czy wydawcy nie przerachują się, licząc na nasza powagę, moglibyśmy tylko powinszować im dobrej myśli, a tak winszujemy tylko odwagi. W każdym razie dla już istniejących poważniejszych pism literackich mianowicie Biblijoteki Warszawskiej i Niwy, powinno to być bodźcem do dalszego rozwoju. Największą jednak zasługą mieliby nasi wydawcy, gdyby przyuczali do czytania poważniejszego, odczuli zarazem pewną część publiczności od lubowania się nieraz wbrew przekonaniom pewnym rodzajem „blagi literacko-naukowej", która dużo robi hałasu a mało przynosi pożytku.

ROZMAITOŚCI.

— W Paryżu wychodzi 754 gazet codziennych i tygodniowych, z których 53 teologicznych, 63 prawnych, 10 jeograficznych i historycznych, 23 pedagogicznych, 53 literackich: 11 poświęconych malarstwu, 8 architekturze, 5 archeologii, 2 fotografii. 17 muzykalnych, 8 teatralnych, 59 dzienników mód, 78 technologicznych, 69 lekarskich i farmaceutycznych, 61 naukowych, 24 wojennych i morskich, 18 rolniczych; gazet politycznych codziennych wychodzi 37, tygodniowych 11, Gazet prowincyjonalnych politycznych jest 562, z których 155 na korzyść siedmiolecia Mac-Mahona, 100 legitymistowskich, 81 bonapartystowskich a 226 republikańskich. Gazety republikańskie rozchodzą się codziennie w liczbie 226,730 egzemplarzy, wszystkie zaś pozostałe razem wzięte w liczbie 316,330.

* * *

— Amerykanin Bishon, autor dzieła „Tysiąc mil piechotą po Ameryce południowej," zamierza udać się z Filadelfii do Hawanny, przez zatokę Meksykańską, w zbudowanej przez niego samego łódce papierowej. „Nautilus" powiada gazeta *New-York-Tribune*, zrobiony jest z masy papierowej przygotowanej ze starych gałganów i wylanej w formie drewnianej; grubość tej tektury wynosi $^1/_6$ część cala. Tektura jest wyrównana, wypolerowana i nasycona nieprzepuszczającem wody, ciałem. Łódka ma długości 14 stóp, szerokości 28 cali, a głębokości 8 i pół cali; ma maszt i żagle, lecz może także płynąć przy pomocy wioseł. Z całem uzbrojeniem łódka waży 75 funtów; nie ma pokładu. lecz pokrywa się płótnem nieprzemakalnem, przypinanem do bortu. P. Bishon oblicza, że jego podróż tam i napowrót potrwa z pięć miesięcy. Zabiera z sobą zapas konserwów, mięsa, kawy, sucharów, piec minijaturowy, rądle i przybory. Przez ciąg całej podróży będzie się znajdował dość daleko od brzegów. a do 80 mil przyjdzie mu przebywać, nie mając nawet na widnokręgu brzegów. P. Bishon utrzymuje, że przepłynął już raz na tej łódce, przy pomocy wioseł, z Filadelfii do Kew-West, odległość 420 mil.

* * *

— *Śniegi we Francyi.* Obecnie padają *we Francyi* śniegi, jakich nie pamiętają w tym kraju. W nocy, na 16 grudnia, nad Paryżem i okolicami srożyła się śnieżna burza. O świcie dnia, miasto ukazało się mieszkańcom jakby okryte gęstą białą oponą. Przez cały dzień śnieg padał bezustannie. Powozy postępowały zwolna, a w niektórych miejscach jazda była zupełnie przerwana. Podług otrzymanych wiadomości z prowincyi, stan atmosferyczny jest prawie jeden i tenże sam w Francyi. Wsie pokryte są śniegiem. Burze śnieżne srożą się głównie w górach Jura. W wielu kierunkach komunikacyje były poprzerywane. W miejscowościach równych, warstwy śniegu dochodziły do 50 i 60 centimetrów. W niektórych miejscach uragan nawiał ogromne masy śniegu, znosząc drogi, zasypując wąwozy i tworząc silne barykady. Z Angers piszą, że w tych dniach wydarzył się tam nieszczęśliwy wypadek: mieszczący się na placu bazar, zawalił się pod ciężarem śniegu, na przestrzeni około 300 metrów. Bazar ten niedawno został zbudowany, na wzór bazarów paryzkich i otwarty przed dwoma czy trzema laty.

MEDYCYNA DOMOWA.

Środek na kaszel. Weź z browaru 1 kwartę odwaru słodowego: do którego jeszcze chmielu nie dodano i gotuj z funtem potłuczonego cukru lodowatego tak długo, aż się połowa wygotuje. Powstałą masę zlewa się do butelki i w razie potrzeby zażywa po łyżeczce od kawy. Jest to doskonały środek na kaszel i leczy w bardzo krótkim czasie.

SPROSTOWANIE.

W Numerze 2-gim st. 23, łam 2 w rozdziale III wiersz 4 „zamiast„ Brzeskie, Litewskie, powinno być: Brzesko-Litewskie.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.